

ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

KAPLANI EMIGRACJI
POLSKIEJ — SMUTNA
STAROŚĆ „SAVOIR
VIVRE” U NARODÓW

TOMASZ DOBROWOLSKI

TOMIZM — FILOZOFIA SZCZĘŚCIA

PRAGNIECIE szczęścia, dążenie do szczęścia — jest jedną z najsilniejszych pobudek działalności człowieka. W pogoni za szczęściem spędza człowiek czas od kolebki aż do grobu, ku niemu zwraca swe myśli i marzenia, za jego cieniem przemierza pustynie i oceany. Nieraz zdaje mu się, że już je osiąga, później traci je znowu z oczu, wraca zmęczony do punktu wyjścia, próbuje osiągnąć je na innej drodze. A ciągle traczone z oczu i ukazujące się w innym zupełnie kierunku, szczęście, raz bliższe, kiedy indziej dalekie — wydaje się wreszcie zmęczonemu gonitwą jakimś mirażem pustynnym, jakąś marą senną. I wędrowiec traci wiarę w siebie, traci wiarę w szczęście, traci wreszcie wiarę w sens życia.

Tak bywa często, zbyt często. Niezrozumienie istoty szczęścia prowadzi wreszcie do zaniku wiary w samą jego możliwość. W pogoni za szczęściem ludzie miotają się ślepo we wszystkich kierunkach, jak ryby w sieci, chcąc je osiągnąć, dosłownie nieraz, po trupach innych, depczą najbardziej podstawowe normy etyczne, łamią najświętsze przykazania, mordują, kradną — a wszystko to w imię prawa do szczęścia. I wtedy się widzi, jak z najpiękniejszego daru Bożego — życia, ludzie własną głupotą tworzą ponurą, bezmyślną groteskę.

Ktoś mógłby się zapytać, jaki właściwie związek ma szczęście z filozofią. Kiedy się zastanawiamy nad tym, czym właściwie jest szczęście i jaka droga do niego prowadzi, wtedy, nieświadomie nieraz, wkraczamy na tereny filozoficzne. Tworzymy własną, często fałszywą, filozofię, albo powtarzamy poglądy innych, przyjmując gotowe zdania i przepisy na szczęście i, w rezultacie, wychodzimy na tym jak najgłorzaj.

Zagadnienie szczęścia pasjonowało już filozofów starożytności. Pisze o nich św. Augustyn: „uczyli jedni, że szczęście najwyższe jest w ciele, drudzy, że w duszy, znów inni, że w duszy i w ciele, a jeszcze inni dodawali też do duszy i ciała dobra poza człowiekiem będące.” Na panujących dziś powszechnie pojęciach zaciążyła pośpiesznie filozofia Kanta, który szczęściu przeciwstawił obowiązek, jako normę postępowania, która bez oglądania się na pożytek, czy nagrodę, winna kierować ludzkimi czynami.

Odrzucenie przez Kanta pozytywnej roli naturalnego dążenia do szczęścia u człowieka jako etycznej normy postępowania wywarło głęboki wpływ na poglądy wielu nawet katolików. Doświadczenie przy tym zdawało się potwierdzać słuszność takiego podejścia. Przecież w imię właśnie prawa do szczęścia popełnia się nieustannie przestępstwa i zbrodnie, sprowadza się nie-szczęścia na innych, rozrywa związki rodzinne... Czyż wobec tego wrodzone człowiekowi pragnienie szczęścia może być tym czynnikiem, który ma kierować, choćby częściowo tylko, jego postępowaniem? Pytanie, na które Kant rzucił od-

powiedź przeczącą, nasuwało się i wracało bezustannie, znajdowało swój wyraz w każdym niemal życiu ludzkim. Rzekomy konflikt szczęścia z obowiązkiem stał się popularnym tematem w literaturze, tak łatwo było przecież wydobyc z niego dramatyczne akcenty... Wywarł nawet niebezpieczny wpływ na wielu pisarzy i myślicieli katolickich.

A przecież pragnienie szczęścia tkwi głęboko w naturze ludzkiej. Przecież było ono i jest jednym z najpotężniejszych impulsów popychających człowieka do działania. Czyżby więc sama natura człowieka miała prowadzić go na manowce?

Nie tak wygląda rzeczywistość, nie takie jest stanowisko Kościoła. Nie tak też podchodzi do tego zagadnienia tomizm, filozofia wieczysta.

W wydanym po wojnie w Krakowie trytomowym dziele pt. „Filozofia wieczysta” ks. Franciszek Kwiatkowski tak określa stanowisko tomistyczne w tej sprawie:

„Moralność jest przymiotem, wła-

ściwością czynów tak moralnie dobrych, jak i moralnie złych. A które to czyny uważa zdrowy ludzki rozsądek za moralnie złe, a które za moralnie dobre? Czy posiadamy jakiś probierz, jaką normę, jaką regułę moralnego postępowania? Bez wątpliwości! Dobrem bowiem nazywamy to, co zgadza się z regułą naszego życiowego, czyli rozumnego i dobrowolnego postępowania, ziem zaś, co odbiega od tej stałej normy. A jakąż jest ta norma? Nasza ludzka natura. Kto postępuje zgodnie ze swą ludzką naturą, tak jak mu to wskazuje jego rozum, ten postępuje moralnie dobrze. Kto postępuje niezgodnie ze swą ludzką naturą, ten postępuje moralnie źle. A tę naturę ludzką trzeba brać w całej pełni (natura completa), więc i w jej stosunkach wewnętrznych (dusza i ciało) i zewnętrznych: do Boga, bliźnich i całego świata niższego. Natura ludzka w całej pełni, to nie natura jednostkowa danego człowieka, to natura gatunkowa z jej przedmiotowymi stosunkami do wszystkich innych bytów.”

„Czy to wystarczy? Nie! I mineralny i roślinny i zwierzęta działają zgodnie ze swą naturą, mają dostosowane do swej natury czynności. Atoli mineralny i roślinny działają z konieczności, pod wpływem wrodzonego popędu natury, zwierzęta prócz tego działają pod wpływem poznania zmysłowego; jeden człowiek w tym świecie widzialnym działa pod wpływem rozumu i wolnej woli. Te właśnie jego czynności, które człowiek wykonuje świadomie i dobrowolnie, a jednak zgodnie albo niezgodnie ze swoją naturą ludzką bezpośrednio, a pośrednio zgodnie z porządkiem całego świata, noszą nazwę czynności moralnie dobrych lub złych.”

Tak więc natura człowieka, u której podstaw leży dążenie do szczęścia, jest zasadniczą normą działania moralnego. Ale działanie to musi być kierowane rozumem. Rozum zaś w pierwszym rzędzie ma doprowadzić człowieka do poznania swojej natury. I do zrozumienia istoty szczęścia i drogi, po której idąc można je osiągnąć. Nie pragnienie szczęścia samo przez się popycha

ludzi do złych uczynków, ale niezrozumienie istoty szczęścia, jego spaczony obraz. I stąd też nie może być mowy o istotnym konflikcie między szczęściem i obowiązkiem, między postępowaniem moralnym i szczęściem. I szczęście i obowiązek leżą na jednej drodze, na drodze prawdy. A prawda, co podkreśla stale filozofia tomistyczna, jest tylko jedna.

I właśnie szczęście — beatitudo — jest w najogólniejszym znaczeniu celem filozofii, jak pięknie mówi św. Tomasz, cytując przy tym poglądy św. Augustyna.

Ale, wyjaśnia św. Tomasz, dążność człowieka do pełnego szczęścia, które określa za Boecjuszem jako stan doskonałego posiadania wszystkich dóbr, nie nasyca całkowicie ani bogactwa, ani rozkosze ciała, ani doczesne radości ducha, jak sława, wiedza, władza, sztuka, ani nawet pełnienie cnót, lecz jedynie poznanie i miłość Boga. W tym leży najwyższe szczęście człowieka i jego ostateczny cel.

Lecz tu już sama filozofia nie jest wystarczająca. W swym „ABC Tomizmu” pisze o. I. M. Bocheński O. P.:

„Celem człowieka, którego dążenie otwarte jest na nieskończoność i którego wola nie może być zaspokojona przez żadne dobro skończone, jest Bóg. Ale filozofia sama nie może udowodnić, że człowiek może Boga osiągnąć, nie może nawet wyjaśnić, jak to się dzieje. O tej możliwości wiemy z Objawienia, które uczy, że Bóg daje Sam siebie tym, którzy Go miłują. Gdybyśmy Objawienia nie posiadali, należałoby by przyjąć, że jedynym osiągalnym celem człowieka jest najintensywniejsze działanie najwyższej duchowej władzy odnośnie najwyższego przedmiotu, to jest prawdy i dobra.”

Ale cel człowieka ostateczny i jego szczęście nie wykluczają wcale możliwości do osiągnięcia względne szczęścia ziemskiego. Przeciwnie — właśnie jedynie nam dostępne szczęście doczesne leży na tej samej drodze. Wrodzone nam pragnienie szczęścia, wsparte naturalnym światłem rozumu ludzkiego, przezeń kontrolowane, nie wiedzie nas na manowce. Prof. Etienne Gilson w swoim dziele „Le Thomisme” pisze (str. 494):

„To szczęście ponadludzkie i ponadnaturalne, nie jest jednakże jakimś terminem przypadkowym, pomyślanym dla pogodzenia moralności z religią; pomiędzy dostępnym nam tutaj szczęściem ziemskim i szczęściem niebieskim, do jakiego jesteśmy powołani, istnieje dokładna zgodność i niemalże ciągłość. Cel ostateczny nie jest zaprzeczeniem celów ludzkich, przeciwnie: on je skupia i uszlachetnia jednocześnie, a nasze ludzkie cele są z kolei jakby częściowym nasładowaniem i niedoskonałym następstwem celu ostatecznego. Nie istnieje nic przez nas upragnionego, czego samo pragnienie należycie zrozumiane i kierowane przez rozum, nie mogłoby być w usprawiedliwiony sposób spełnione. Pragniemy tutaj zdrowia i dóbr cielesnych, ale przecież zdrowie i

PASTOR ANGELICUS

MARZEC, kwiecień, maj i czerwiec są to miesiące w których katolicy poprzez tajemnicę świętych obcowania łączą się ściślej z Papieżem Piusem XII. W czerwcu, w dzień Świętego Piotra i Pawła, myśli i modlitwy wierzących kierują się zawsze w intencji widzialnej Głowy Kościoła, jako Piotra wciąż żyjącego w każdym swoim następcy. Dzień 1 czerwca, św. Eugeniusza Papieża, tak dbałego o karność wśród kleru i podniesienie jego poziomu moralnego, jest dniem imienin Piusa XII. Dnia 13 maja, a więc dokładnie wtedy, kiedy w Portugalii na polach Fátima Matka Boża zjawiała się z orędziem pokuty ale i pokoju przed trójgłosem pastuszków, Benedykt XV nakładał mitrę arcybiskupa Sardis monsignorowi Pacelli, udającemu się jako nuncjusz do Bawarii. W dniu 1 kwietnia 1899 roku don Pacelli odprawiał swą pierwszą Mszę św. w bazylice liberiankiej, w kaplicy Borghesow, przed łaskami słynącym obrazem Matki Bożej — Ocalenie Ludu Rzymskiego. I wreszcie 2 marca, w dzień swych urodzin (ur. 1876), został kardynał Pacelli wybrany Papieżem, a koronowany 12 tego samego miesiąca, w święto Grzegorza Wielkiego, jednego z największych Papieży i Doktorów Kościoła.

— Kim jesteś w Kościele Bożym? — zapytamy za św. Bernardem. I odpowiemy jego słowami: „Wielkim Kapłanem, Najwyższym Arcykapłanem. Jesteś następcą Biskupem, dziedzicem Apostołów, w prymacie Ablem, w rządzie Noem, w porządku Melchizedekiem, w godności Aaronem, we władzy Piotrem, w namaszczeniu Chrystusem. Jesteś tym, komu wręczono klucze Niebios. Są i inni, którzy trzymają drzwi Niebios i są pasterzami trzód, lecz tyś odziedziczył miano ponad nich wszystkich, zarówno w chwalebniejszy jak i w osobliwszy sposób. Oni mają każdy trzódki sobie przyznane, gdy tobie jednemu wszyscy są powierzeni, jako jedna owczarnia. A jest ci powierzona nie tylko owczarnia, ale i wszyscy pasterze, boś ty jest Pasterz Jeden”.

Przed władcami, mówi św. Doktor, jesteś Janem Chrzcicielem, a Mojżeszem przed tyranami. Jesteś Eliaszem przed bałwochwalcami,

Elizeuszem przed chłircami, Piotrem przed zwodzicielami, Pawłem przed bluźniercami, a Chrystusem przed wszystkimi ludźmi.

Jak Paweł — jest Pius XII „w pracy i mozole, w częstym niespaniu” i jak Apostoł, „w naleganiu codziennym i „staraniu o wszystkie kościoły”. Miłuje je wszystkie i modli się za wszystkie, lecz serce jego, serce Ojca, jest w sposób szczególny przede wszystkim z tymi narodami, które najczęściej cierpią i są „jakby zamknięte za żelaznym murem”, a których członkowie „często pozbawieni praw obywatelskich, nawet samej wolności i bezpieczeństwa osobistego, (...) odcięci od wszelkiego ożywionego, bezpiecznego i swobodnego komunikowania się z Centrum Chrześcijaństwa i to nawet w najbardziej wewnętrznych sprawach sumień, a równocześnie (...) dręczący ich niepokój, poczucie jakby osamotnienia, a niekiedy przekonanie, iż są zupełnie opuszczeni”.

Jak Grzegorz Wielki jest Papieżem wśród ruin, on, Papież pokoju i sprawiedliwości, pokoju — owocu sprawiedliwości; takie bowiem jest hasło jego Pontyfikatu: opus iustitiae pax. Sam powiedział, że świat przechodzi głębszy kryzys, niż za czasów wędrowek ludów. Lecz także powiedział, że mimo całej nędzy, bezmiaru nieszczęść, zagrożenia i niepewności — miłuje ten czas tak trudny, w którym życie mu przypadało. Chrześcijanin bowiem ma zawsze dany tylko ten czas, w którym żyje, nie może go odrzucić ani dla osłabiających wspomnień o przeszłości, ani dla bezpłodnych marzeń o przyszłości. Każde życie ludzkie i każda epoka dziejów realizują plan Boży dla świata. Grzegorz Wielki, z sercem pełnym smutku patrząc na rozpadające się państwo rzymskie i zalew — przez barbarzyńców — cywilizacji, o której po ludzku sądził, że jest cywilizacją jedyną, a jej upadek — kresem wszystkiego, wierzył w bliski koniec świata. A mimo to, jak go pięknie nazwano, był budowniczym wśród ruin i stał misjonarzem na podbój nowych krajów pod chrześcijańskie żniwo. Już na jego oczach nowe życie wyrosło na ruinach.

I wśród ruin, które Pius XII wi-

dzi swym ludzkim wzrokiem i tych, które może już dostrzeżać okiem Pasterza świata, widać nowe życie, nowe ludy poddają się światłu Ewangelii. Wśród wszystkiego bowiem co miją, co jest poddane mijaniu, jedno jest „tylko pewne: Kościół”. „Kościół katakumb, Kościół męczenników, Kościół wyznawców, Kościół papieży i nieustraszonych biskupów nie jest jedynie historią, która minęła. Jest on rzeczywistością wciąż żyjącą. Wystarczy, by tego okoliczności czasu zażądały, a Łaska Boża sprawi, że zawsze jawi się czynny, zawsze mężny, zawsze niezłomny i nigdy od żadnego poehlebstwa się nie ugnie ani przed żadną groźbą nie zdrąży”. Tak przemawiał kardynał Pacelli przed 16 laty w Lourdes.

Kościół, stosunek do Kościoła, pojęcie Kościoła, powszechność Kościoła są częstym tematem okolicznościowych i magisterialnych wystąpień Piusa XII, Papieża, owszem — pokoju, owszem — sprawiedliwości, owszem — Papieża najbardziej „społecznego”, ale i Papieża uniwersalności Kościoła. Dlatego jest to najbardziej Maryjny ze wszystkich Papieży, bo Maria jest Matką całej ludzkości w Kościele swego Syna. Miłość do Niej sprawiła, że w Jej pierwszym na Zachodzie i najczcigodniejszym przybytku odprawiał swą pierwszą Mszę św. Jej Niepokalenemu Sercu poświęcił całą ludzkość. I jemu to przypało w udziale przyzodobić Ją koroną Jej przywilejów przez nieomyślnie orzeczenie o Jej Wniebowzięciu.

W 75 rocznicę urodzin Piusa XII i w 12 rocznicę jego obioru i koronacji łączymy się z całym światem chrześcijańskim w hołdzie dla osoby Sternika Kościoła i w miłości dla niego. Prosimy Boga, aby go nam zachował jak najdłużej dla chwały Imienia Swego, dla dobra Swego Kościoła, dla dobra dusz naszych, dla dobra świata całego, któremu, jako Pasterz Anielski, ukazuje z taką mocą i jasnością, jakie już od wieków nie jaśniały na Stolicy św., drogę pewną do „królestwa prawdy i życia, królestwa świętości i łaski, królestwa sprawiedliwości, miłości i pokoju”.

Jan Tokarski

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

sprawność ciała są w rzeczywistości warunkami sprzyjającymi działalności świadomości, przez którą możemy osiągnąć najdoskonalsze szczęście ludzkie. Pożądamy w tym życiu dóbr zewnętrznych, jak na przykład majątku, ale przecież one nam pozwalają żyć i działać na drodze kontemplacji jak i stosować cnoty czynne. — jeśli te dobra zewnętrzne nie są istotne dla szczęścia, to są przynajmniej jego instrumentami. Pragniemy tutaj towarzystwa naszych przyjaciół i mamy rację, ponieważ jeśli chodzi o szczęście doczesne, człowiek szczęśliwy potrzebuje przyjaciół; nie dlatego, aby coś od nich uzyskać; mędrzec wystarcza sam sobie; nie dla przyjemności; mędrzec znajduje przyjemność doskonałą w aktach cnoty, ale by mieć dla tej cnoty właśnie pole działania. Swym przyjaciołom on świadczy dobrze i przez nich jego cnota się doskonali. Na odwrót możemy powiedzieć, wszystkie dobra uporządkowane i uszlachetnione mają swe miejsce w szczęściu niebieskim. Wtedy nawet, kiedy dusza widzi Boga twarzą w twarz w wizji błogosławionej i zdaje się być jakimś odrębnym umysłem, nawet i wtedy szczęście człowieka nie jest szczęściem duszy kompletnie oddzielonej od ciała. Nawet w chwale niebieskiej znajdujemy człowieka złożonego z duszy i z ciała.

I nie jest filozofia tomistyczna przeciwniczką szczęścia i radości życia, jak nie był św. Tomasz ponurym, niezyciowym mnichem, jakim go sobie niektórzy zdają wyobrażać.

„Niemożliwe jest“ — pisze św. Tomasz w swym komentarzu do I-zajazsa — „oddawać się tylko działaniu i kontemplacji; jest rzeczą konieczną łączyć powagę życia wesołością i rozrywkami, aby nie przygasić ducha zbyt wielką surowością i aby potem człowiek mógł sprawniej wykonywać dzieła cnoty.“

Nie wiedzie nas na manowce wrodzone człowiekowi pragnienie szczęścia. I choć pełne szczęście nie jest w tym życiu osiągalne i to, które możemy osiągnąć, znajduje się na tej samej drodze, która nas prowadzi do naszego celu ostatecznego.

Dwa światła, niezależne od siebie, choć pochodzące z tego samego źródła, są naszymi przewodnikami na tej drodze. Są to: Objawienie Boże i prawo naturalne, osiągnięte przyrodzonym światłem rozumu ludzkiego. Oba są wykładnikami tej samej Prawdy, oba zapoznają człowieka z prawodawstwem Bożym.

Tomizm, Filozofia Wieczysta, umożliwia człowiekowi zrozumienie otaczającej go rzeczywistości, pozwala mu poznać samego siebie, zrozumieć swoją naturę i prawo naturalne, któremu podlega.

I pozwala mu zrozumieć i zaspokoić wrodzoną dążność ku szczęściu.

Pomaga mu znaleźć właściwą drogę i unikać dróg, które go zwodzą mierzem fałszywego szczęścia, i które go od prawdziwego szczęścia oddalają. Pomaga mu pojąć, że w życiu doczesnym szczęście i obowiązek nie są to pojęcia przeciwstawne, jak nie są też przeciwstawne szczęście i cierpienie. Cierpienie w tym życiu nie wyklucza szczęścia, jak szczęście nie wyklucza cierpienia. Lecz jest jeden czynnik, którego i we względym szczęściu doczesnym nie może zabraknąć, a tym czynnikiem jest Miłość.

„Szczęście da się tylko osiągnąć na tej drodze, po której prowadzi człowieka zawarte w Objawieniu i prawie naturalnym prawodawstwo Boże. „To zaś jest celem całego prawodawstwa Bożego“, — pisze św. Tomasz w Summie Przeciwników Poganom — „by człowiek kochał Boga.“

Tomasz Dobrowolski

BL. ALBERICO CRESTITELLI

W niedzielę 18 lutego b.r. Ojciec św. i 7 kardynałów uczestniczyło w akcie beatyfikacji zamęczonego dnia 21 lipca 1900 r. w Chinach w czasie powstania bokserów, włoskiego misjonarza Albertyka Crestitelli. Błogosławiony urodził się w r. 1863 w Altavilla Irpina koło Salerno. Około 100 mieszkańców tej wioski, w tym znaczna część jego krewnych, była obecna w Bazylice. Ciało męczennika zostało posiekane na kawałki, które wrzucono do rzeki. To też relikwiarz, który po ceremonii został ofiarowany Papieżowi, zawierał jedynie szczątki sułanny Błogosławionego.

SPRAWA BEATYFIKACJI PIUSA X.

W dniu 20 lutego b.r. Kongregacja Obrządków zatwierdziła końcowy dekret w sprawie beatyfikacji Piusa X. a tydzień przedtem zostały

uznane dwa cuda, zdziałane za jego przyczyną. Chociaż data beatyfikacji wielkiego Papieża nie jest oficjalnie ustalona, przypuszcza się, że odbędzie się w dniu 3 czerwca b.r. Zazwyczaj przy beatyfikacjach Papież nie bierze udziału, „schodzi“ tylko do bazyliki po południu dla oddania czci nowemu błogosławionemu. Tym razem jednak beatyfikacja ma odbyć się bardzo uroczysto i z udziałem Ojca św., który odczyta dekret. Będzie to pierwsza beatyfikacja Papieża od czasu Piusa V, beatyfikowanego w r. 1672.

INNE BEATYFIKACJE I KANONIZACJE

Być może, że już 29 kwietnia b.r. odbędzie się beatyfikacja męczenników indochińskich wraz z dwoma hiszpańskimi dominikaninami — biskupem Mechiorem Garcia Sanjurjo i biskupem José Diaz Sanjur-

jo. W niedługim też czasie mają być beatyfikowani: jezuita francuski o. Maunoir (zmarł w 1863); włoski franciszkanin Franciszek Antonio Pasani (zm. 1742); Placyda Vill (zm. 1877); Wiktoria Teresa Coudero, współzałożycielka Siostr św. Wierznika (zm. 1866); Rafaela Maria, Hiszpanka, założycielka Siostr św. N. Serca Jezusowego; Maria Venerini, założycielka zgromadzenia nauczającego, nazwanego od jej nazwiska; Bertilla Boscardin z Vinceny oraz serwita o. Antoni Pucci. Posunęły się też bardzo sprawy kanonizacji bł. Ignacego de Laconi, kapucyna, zmarłego w 1871; Emilii de Vilar, beatyfikowanej w 1939; bł. Marii Mazzarello, pierwszej przełożonej generalnej Córki Marii Wspomożycielki, błogosławionej w 1936; bł. Antoniego Marii Gianelli, biskupa z Babbio oraz barnabity o. Franciszka Ksawerego Bianchi.

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS“

W POROZUMIENIU Z POLSKĄ MISJĄ KATOLICKĄ W ANGLII I WALII.

pragnąc przyjąć z pomocą wolnej twórczości polskiej na obczyźnie, ogłasza ufundowanie dorocznych

NAGRÓD LITERACKICH

dla pisarzy, których twórczość zgodna jest z zasadami wiary i obyczajów katolickich na łączną sumę 200 funtów.

Nagrody są podzielone i przyznane będą za następujące rodzaje twórczości:

NAGRODA LITERACKA ZA OGÓLĄ DZIAŁALNOŚĆ PISARSKĄ w kwocie funtów 50.

Nagroda ta przewidziana jest dla wybitnego pisarza polskiego, przebywającego poza granicami Kraju — za działalność literacką przedwojenną, w czasie wojny i powojenną.

NAGRODA LITERACKA MŁODYCH w kwocie funtów 50.

Nagrodę tę otrzyma pisarz, który nie wydał książki przed wrześniem 1939 r., a ogłosił ją względnie napisał na obczyźnie po 1 stycznia 1946 (jest to przybliżona data świadomego wyboru emigracji jako czynnej postawy w sprawie polskiej).

Ponieważ znane powszechnie trudności wydawnicze mogły nie pozwolić na ujawnienie się wszystkich młodych talentów — nagroda ta może być przyznana również za dzieło literackie, nadesłane w maszynopisie do dnia 31 marca 1951 do Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas“, przy czym nagrodzona tego rodzaju praca może być wydrukowana i osobno honorowana przez Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas“.

Nagroda ta przyznana będzie za tom prozy lub poezji.

NAGRODA ZA ROZPOCZĘTĄ W RĘKOPISIE PRACĘ LITERACKĄ, dla której ukończenia potrzebna jest pomoc materialna — w kwocie funtów 25.

Każdy pisarz pozostający na emigracji może nadesłać do Jury Katolickich Nagród Literackich rozpoczęty rękopis swej pracy, do której ukończenia potrzebna jest mu pomoc materialna.

NAGRODA ZA PRZEKŁAD KATOLICKIEGO DZIEŁA LITERACKIEGO Z JĘZYKA OBCEGO NA JĘZYK POLSKI w kwocie funtów 25.

Mimo wieloletniego naszego przebywania wśród obcych narodów ilość przekładów obcych utworów literackich na język polski jest znikoma. Pragnąc zachęcić pisarzy do wysiłków w tym kierunku Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas“ przyzna powyższą nagrodę — za przekład prozą lub wierszem, ogłoszony drukiem po 1 stycznia 1946 lub nadesłany w rękopisie.

NAGRODA DLA PUBLICYSTY KATOLICKIEGO w kwocie funtów 25.

Nagroda ta przyznana będzie za ogólną działalność publicystyczną w duchu programowo katolickim.

NAGRODA ZA PRACĘ NAUKOWĄ Z ZAKRESU HUMANISTYKI w kwocie funtów 25.

ogłoszoną drukiem po 1 stycznia 1946 lub nadesłaną w rękopisie.

Polowę wyżej wymienionych nagród w kwocie funtów 100 fundują polskie ośrodki katolickie. Polowę zaś mają ufundować Czytelnicy wydawnictw Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas“ w drodze składek, których listę z dniem dzisiejszym otwieramy. Składki Czytelników będą dowodem troski społeczeństwa polskiego na uchodźstwie o los narodowej twórczości.

Jeśli do zebranej w ten sposób sumy braknie jakiejś kwoty — wyrówna ją Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas“.

Termin wręczenia nagród w dniu święta Królowej Korony Polskiej i święta narodowego

3 MAJA 1951 R.

Skład Jury ogłoszony będzie w numerze następnym.

ŚP. X. BISKUP TEODOR KUBINA

W wieku lat 71 zmarł pierwszy biskup częstochowski J.E.X. Biskup Teodor Kubina, Ślązak z pochodzenia, zwany ongiś „biskupem robotników“, lub, za wzorem arcybiskupa Pragi Kordacza „czerwonym biskupem“. W czasach przed zorganizowaniem Akcji Katolickiej w Polsce, z całego naszego Episkopatu zmarły Hierarcha najżywiej interesował się rozwiązaniem kwestii społecznej i robotniczej na zasadach sprawiedliwości społecznej i jest autorem bardzo swego czasu komentowanej książki, która zyskała mu wielkie uznanie wśród czującej po katolicku części społeczeństwa naszego, ale też spowodowała skargi do Watykanu na autora ze strony niektórych przedstawicieli „katolickich sfer posiadających“, że Biskup częstochowski jest demagogiem radykalizmu społecznego.

S.p. X. Biskup Kubina pracował jako kapłan w USA, Brazylii, Francji, Holandii, Jugosławii i Jeruzalem. Jako biskup dożył 25 lecia swej diecezji. Jego następcą miał być, jak wiadomo, Ojciec Turowski, generał Pallotyńów. Sufragan częstochowski J.E.X. Biskup Stanisław Czajka jest wikariuszem kapitulnym diecezji.

*

NIEBEZPIECZENSTWO SCHIZMY ODSUNIĘTE

Krakowski „Tygodnik Powszechny“ w numerze z dnia 18 lutego podał do wiadomości następujący komunikat Episkopatu Polski w sprawie nowego stanu rzeczy na Ziemiach Zachodnich, po usunięciu przez reżym Administratorów Apostolskich i po wybraniu przez „rady diecezjalne“ t.zw. wikariuszy kapitulnych:

Episkopat podaje do wiadomości Przewielbionego Duchowieństwa i Wiernych, że w wyniku przeprowadzonych zmian w zarządzie kościelnym na Ziemiach Zachodnich — Książ Prymas udzielił jurysdykcji kanonicznej wybranym przez Rady Diecezjalne Kapłanom, którzy sprawują odąd władzę kościelną na tych ziemiach, zgodnie z prawem kanonicznym. Duchowieństwo i wierni winni odnosić się do tych Rządów diecezji z ufaniem i udzielić im koniecznego poparcia.

Jest to zarządzenie wielkiej wagi, które zapobiega formalnej schizmie na Ziemiach Zachodnich, jaka mogłaby nastąpić po gwałcie reżymu. Na skutek zapewne pełnomocnictw, jakie hierarchia posiada w krajach znajdujących się we władaniu komunistycznym, Prymas Polski, udzielając jurysdykcji kanonicznej kapłanom, wybranym wprawdzie w warunkach bezprawia i przymusu, znalazł rozumne i legalne wyjście z sytuacji. W bolesnym położeniu, w jakim znajduje się dziś Kościół w Polsce, był to krok jedynie możliwy.

JAKIE ŚWIĘTA ZOSTAŁY W KRAJU ZNIESIONE PRZEZ REŻYM?

W dniu 28 stycznia b.r. odczytano z ambon wiernym w Polsce następujący komunikat Episkopatu w sprawie świąt kościelnych, bezprawnie, bo aktem jednostronnym, zlikwidowanych przez reżym: „W dniu 18 stycznia br. Sejm Ustawodawczy R.P. ze względów gospodarczych uchwalił nową ustawę o dniach wolnych od pracy.“

Wobec powyższego musimy zdać sobie sprawę, że dni świąteczne: Matki Boskiej Gromnicznej (2 lutego), Wniebowstąpienie Pańskie, drugi dzień Zielonych Świątek, św. Piotra i Pawła (29 czerwca) i Niepokalanego Poczęcia N.M.P. (8 grudnia) — obecnie nie będą mogły być obchodzone w dawnym zakresie.

„Dni te jednak nie przestają być uroczystościami kościelnymi i dlatego duszpasterze dadzą Wam możliwość obchodzenia tych świąt w kościołach naszych i ułatwią wzięcie udziału w nabożeństwach w godzinach rannych czy wieczornych zależnie od miejscowych warunków.“

W kraju protestanckim, jak Anglia, katolicy mają przynajmniej możliwość, korzystając z obowiązujących tzw. Bank Holidays, uczcić wszystkie drugie święta głównych świąt chrześcijaństwa. W Polsce, kraju katolickim, wierni tej możliwości już nie posiadają jeśli chodzi o poniedziałek Zielonych Świąt. Dodatkowo zniesione zostały święta tak zawsze uroczyste obchodzone w Polsce, jak Oczyszczenie N. M. Panny (Matki Boskiej Gromn.), Wniebowstąpienie, Piotra i Pawła oraz święto Niepokalanego Poczęcia.

BOGUSŁAW PRZERADZKI

KAPŁANI EMIGRACJI POLSKIEJ

Kiedy w r. 1895 ks. Lechert obejmował stanowisko pierwszego rektora stałej Polskiej Misji Katolickiej w Londynie, ani on, ani nikt inny z inicjatorów i założycieli tej Misji z Matką Siedliską ze Zgromadzenia Nazaretanek na czele, z pewnością nie przypuszczał, że po upływie pół wieku polska społeczność katolicka w Wielkiej Brytanii, w wyniku niezwykłych okoliczności dziejowych, tak bardzo, choćby przejściowo, się rozrosła i przekształciła w swym składzie. W chwili powstania Misji liczba Polaków w Londynie na pewno nie dochodziła do 3.000 osób; byli to przeważnie ubodzy, źle płatni robotnicy, gnieźdzący się w slumsach East Endu; z dawnej emigracji politycznej pozostały przy życiu już tylko niedobitki. W chwili obecnej liczba Polaków w stolicy Anglii jest przeszło dziesięciokrotnie wyższa, przy czym przekrócił społeczny tej nowej emigracji jest znacznie bardziej urozmaicony. Jeśli zaś weźmiemy pod uwagę całą Wielką Brytanię — to skok jest tu jeszcze bardziej raptowny: z ok. 4.000 na 160.000.

Ze strony Polskiej Misji Katolickiej sprostanie tym nagłym przemianom, zaszłym w ciągu ostatnich lat jedenastu, wymagać musiał niezwykłego wysiłku, — ale i przed Drugą Wojną Światową dzieje jej zawierają wiele interesujących momentów. Dziełom tym poświęcona jest publikacja p.t. „Polska Misja Katolicka w Londynie, 1894 — 1944”, która właśnie wyszła spod prasy w otóżnej szacie graficznej z wieloma ilustracjami i wysoce artystyczną winiętą tytułową Adama Bunscha, przedstawiającą Kościół Polski przy Devonian Road. Książka wydana została z okazji 50-lecia Misji, spóźniła się więc o dobrych kilka lat, — warunki wojenne nie mogły sprzyjać jej opracowaniu —, niemniej stanowi ona bardzo cenny przyczynek do dziejów emigracji polskiej w Anglii, tak dotąd skąpo i pobieżnie przetwarzanych.

Część pierwszą, skreśloną przez Pawła Sawickiego, stanowi zarys dziejów Polskiej Misji Katolickiej i Kościoła Polskiego w Londynie, poprzedzony krótkim omówieniem duszpasterstwa polskiego w stolicy Anglii w dawniejszym okresie, od Wielkiej Emigracji poczynając. Na część drugą złożył się szereg wartościowych przeważnie przyczynków, dokumentów i wspomnień, ilustrujących różne fazy działalności duchowieństwa polskiego w Anglii. Okresu przed powstaniem Misji dotyczy krótkie studium ks. A.T. Kowalkowskiego „Dawna emigracja polityczna polska w W. Brytanii” i dane o działalności księży polskich w Londynie w okresie 1862-65, wyjęte z archiwum Archidiecezji Poznańskiej. Wśród materiałów dotyczących ostatniego półwiecza wyróżnia się interesujący szkic o stosunkach kościelnych między Polakami a Litwinami w Londynie, które na przełomie XIX i XX stulecia stały pod znakiem litewskich dążeń do wyodrębnienia się, dalej krótki zarys dziejów emigracji polskiej na terenie Manchesteru, opis uroczystości poświęcenia Kościoła Polskiego w Londynie w dniu 12 października 1930 r., oraz notatka o stosunku kardynała Bourne'a do Polski, rolę, jaką spełnia Kościół Polski w Londynie w społeczności emigracyjnej, charakteryzującą w swych pięknych artykułach S. Kossowska i Józef Kisielewski. Hołd poetycki o mocnym, skupionym wyrazie składają temu Kościołowi Jerzy Pietrkiewicz i Stefan Borsukiewicz.

Część trzecia i ostatnia zawiera obszernie sprawozdanie z uroczystości poświęcenia Misji w r. 1944. Za szczęśliwy pomysł uznać należy umieszczenie przy samym końcu książki krótkiego streszczenia dziejów Misji w języku angielskim. Ozdobą książki są jej doskonale wykonane ilustracje, — głównie wizerunki założycieli i opiekunów Misji, w tym jej rektorów od ks. Lecherta poczynając do obecnego zasłużonego rektora ks. Władysława Stani-

szewskiego, który stanowisko to objął w r. 1938. Nie brak i podobizny Zofii z Andrzejewskich Pace, Wielkopolanki zamężnej za Anglikiem, która przez czterdzieści lat swego pobytu w Londynie aż po zgon swój w r. 1928 była niezmordowaną opiekunką tutejszej kolonii polskiej, pracując w Towarzystwie Literackim Przyjaciół Polski i innych organizacjach i przyczyniając się w wielkiej mierze do powstania Kościoła Polskiego w Londynie.

Ponoć jednak na każdym słowniku i plamki — tak się też rzecz ma z omawianą książką. Mam tu na myśli pewne braki i usterki, jakie zakradły się do charakterystyki pierwszego okresu emigracji polskiej w Anglii w wartościowym skąd inąd studium p. Sawickiego. Niech mi wolno będzie powiedzieć coś niecoś na ten temat, zatrzymując się dłużej nad niektórymi ludźmi i sprawami, skoro już tak się złożyło, że od pewnego czasu wgrzyzałem się w dzieje tej emigracji.

KAPŁAN, PATRIOTA I DZIAŁACZ SPOŁECZNY

Naprzód więc pierwszym duszpasterzem Polaków w Londynie za Wielkiej Emigracji był nie Szczepan Mazoch, odstępa od Kościoła katolickiego (w tej sprawie zresztą redakcja książki zamieściła krótkie sprostowanie na str. 42), ale ks. Stanisław Poncján Brzeziński (1795-1855), bernardyn, który niewątpliwie zasłużył sobie na pamięć następnych pokoleń emigracyjnych.

Ks. Brzeziński urodził się w Mołozycach w Ziemi Krakowskiej. Z jego krótkiego życiorysu, jaki skreślił ks. Ludwik Zalewski dla „Polskiego Słownika Biograficznego” (zesz. 11. 1937), dowiadujemy się, że w latach 1825-1832, młody jeszcze wówczas ks. Brzeziński był gwardianem klasztoru bernardynów w Józefowie nad Wisłą. Gdy wybuchło Powstanie Listopadowe, popierał je słowem i czynem i nawet po jego upadku nie przestał brać udziału w spiskach patriotycznych. Wyjechał w r. 1832 do Krakowa konspirował tam z podobnymi sobie zapalcami z wojew. lubelskiego, a w r. 1833 starał się popierać partyzantkę Zaliwskiego. W r. 1834 przybył na kapitułę zakonną w Radecznicy — i tu niespodziewanie został „nakryty” wskutek denuncjacji niektórych zakonników z Józefowa. Aresztowany z polecenia naczelnika wojennego wojew. lubelskiego Hurki, skuty został w kajdany i przewieziony do Lublina. Na śledztwie przed Hurką Brzeziński zrzęcznie odparł kierowane przeciw niemu oskarżenia, w celu więc wymuszenia zeznań z polecenia namiestnika Paszkiewicza postanowiono go przewieźć do Warszawy i oddać ostawionemu przesowy komisji śledczej Storożence, na badania. W drodze, pomimo kajdan i straży, korzystając z ciemnej nocy, uciekł i przekradł się lasami na terytorium Wolnego Miasta Krakowa. Nie czując się tam jednak bezpiecznym, w r. 1836 wyemigrował do Londynu.

Tu informacje ks. Zalewskiego urywają się; nie podaje on żadnych danych, dotyczących działalności ks. Brzezińskiego na emigracji. By się o tym czegoś dowiedzieć, sięgnąć trzeba do ówczesnych druków emigracyjnych i do drukowanych rocznych sprawozdań Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski (*Literary Association of the Friends of Poland*) w Londynie.

W sprawozdaniu tego Towarzystwa za r. 1842 czytamy, że Polacy w Anglii od dawna już odczuwali brak przybytku Bożego, w którym nabożeństwa byłyby odprawiane przez duchownych Polaków i w którym głoszone byłyby kazania polskie. Starano się zaradzić temu brakowi, ale natrafiało to na liczne trudności. Dopiero obecnie starania te, czynione przez kierownicze jednostki spośród emigracji polskiej, bliskie są sukcesu. Mianowicie ks.

Brzeziński — który (do tej pory, jak sprawozdanie zaznacza w innym miejscu, był nauczycielem w jednej z prywatnych szkół angielskich (*Bruce Castle Academy* w Tottenham), — otrzymał oświadczanie zaświadczenie od biskupa swej diecezji w Polsce i upoważniony został przez katolickiego biskupa Londynu do spełniania funkcji kapłańskich. Potrzebna suma została już subskrybowana i chodzi obecnie tylko o znalezienie odpowiedniej kaplicy. „Gdy to się stanie, — stwierdza sprawozdanie — uchodźcy polscy nie będą już musieli szukać pociechy duchowej u księży obcego narodu, ani spełniać obrzędów kościelnych wśród kongregacji cudzoziemskich, — lecz zamiast wykonywać swe praktyki religijne tak jak teraz w kaplicy niemieckiej, hiszpańskiej lub jakiej innej obcej, będą mieli przybytek kultu, oddany, przynajmniej na parę godzin w tygodniu, na użytek pobożności polskiej — i będą mogli brać udział w spełnianiu swych obowiązków religijnych w sposób zgodny (*congenial*) ze swymi uczuciami. Zainteresowanie okazywane w tej sprawie przez wygnańców, świadczy wysoce na ich korzyść, i choć Rada Tow. Lit. Przyjaciół Polski nie czuła się powołaną do mieszania się w jakikolwiek sposób w sprawę tego rodzaju, pragnie ona zżyć im powodzenia w tak chwalebnych zamierzeniach”.

PIERWSZE NABOŻEŃSTWA POLSKIE W LONDYNIE (1842)

Sprawozdanie Towarzystwa Przyjaciół Polski za rok następny podaje z zadowoleniem, że z dniem 15 maja 1842 r. do użytku wygnańców polskich przeznaczona została za zgodą ks. Thomasa Doyle'a belgijska kaplica katolicka przy London Road, w dzielnicy Southwark (w okolicy Elephant and Castle), a biskup Londynu wyznaczył ks. S. P. Brzezińskiego, *himselb a Polish Refugee*, do spełniania funkcji kapłańskich. Datę tę uważa należy za właściwy początek duszpasterstwa polskiego w Londynie, choć niewątpliwie już przed tym ks. Brzeziński otaczał swą opieką duchową wielu spośród emigrantów.

Warto w tym miejscu zrobić małą dygresję i zanotować, że już przedostatni poseł dawnej Rzeczypospolitej na Dworze św. Jakuba, Franciszek Bukaty, czynił gorliwe starania o zapewnienie nabożeństw katolikom w Londynie i o wystawienie nowego kościoła katolickiego pod opieką poselstwa i protekcją Króla Polskiego, za co mu Papież Pius VI podziękował w swym *brevie* z d. 15 stycznia 1782 r. Przyszła jednak katastrofa rozbiorów i zomiar ten nie został wykonany, za to w Londynie powstał szereg kaplic dla użytku katolików poszczególnych narodów. Julian Ursyn Niemcewicz, który przybył do Londynu w sierpniu 1831 r. jako wysłannik Rządu Narodowego i przebywał w stolicy Anglii jeszcze przez pewien czas po upadku powstania, notuje w swym diariuszu ówczesnym, że co niedzielę chodził na Mszę św. do jednej z tych kaplic, zwykle hiszpańskiej, ale bywało, że i np. do sardyńskiej przy Lincolns Inn.

Nabożeństwa polskie w kaplicy przy London Road trwały przez lat kilka. Kaplica ta, z chwilą otwarcia w r. 1848 katedry św. Jerzego, przeznaczona dla katolików południowej części Londynu, uległa likwidacji. W sprzedanym budynku powstał później *music-hall*.

Dnia 5 czerwca 1844 r., w związku z wizytą cara Mikołaja I w stolicy Anglii, odbyło się w jednej z sal w pobliżu Portland Place manifestacyjne zebranie, które zgromadziło emigrantów polskich ze wszystkich, tak zwykle beznadziejnie skłóconych, odłamów politycznych. Pod koniec tego zebrania, które jednomyślnie przyjęło rezolucję protestującą przeciw ujarzme-

niu Polski i domagającą się jej odbudowania w granicach przedrozbiorowych, zabrał głos ks. Brzeziński i wezwał obecnych do udziału w nabożeństwie za duszę śp. Klauddi Potockiej, opiekunki powstańców, a później emigrantów polskich, zażywającej powszechnej czci. Po tym nabożeństwie, które odbyło się w Kaplicy Belgijskiej, rozdawano wśród publiczności angielskiej ulotki z tekstem uchwał manifestacyjnego zgromadzenia, w tłumaczeniu angielskim.

Ks. Brzeziński brał też żywy udział w życiu organizacyjnym i jak byśmy dziś powiedzieli „samopomocowym” emigracji. Był m. in. prezesem polskiego Towarzystwa Odcieżowego, które zajmowało się zbieraniem i kupowaniem różnej odzieży, by ją następnie rozdawać między ubogich emigrantów. Towarzystwo to — wedle sprawozdania Tow. Przyj. Polski za rok 1846 — znajdowało się wówczas w „kwitującym stanie”. Z jego ramienia i równocześnie dla spełnienia czynności duszpasterskich ks. Brzeziński odwiedzał Portsmouth, gdzie żyło w bardzo ciężkich warunkach stu kilkudziesięciu żołnierzy polskich z r. 1831. Ks. Brzeziński należał również do Rady Polskiego Grona Historycznego w Londynie, instytucji, zajmującej się na terenie W. Brytanii zbieraniem wszelkich materiałów, dotyczących historii Polski.

Jego działalność zjednała mu powszechne uznanie na emigracji, i to nie tylko w Londynie. Organ księcia Adama Czartoryskiego, paryski „Trzeci Maj”, stwierdzał¹⁾ że ks. Brzeziński „jest poważany i kochany przez wszystkich dla swojej gorliwości w spełnianiu obowiązków swego świętobliwego stanu tudzież uczuć i patriotyzmu dla naszej nieszczęśliwej Ojczyzny”.

W dniu 29 listopada 1846 r. ks. Brzeziński wygłosił w Kaplicy Belgijskiej kazanie z okazji szesnastej rocznicy Powstania Listopadowego, które następnie ukazało się drukiem w tłumaczeniu angielskim.

Cała ta religijna i społeczna działalność ks. Brzezińskiego urwała się dosyć nagle z powodu jego choroby. Sprawozdanie Komitetu Ogólnego Emigracji Polskiej z r. 1846 notuje lakonicznie, że ks. Brzeziński „dla słabości zdrowia” wyjeżdża na kontynent i że przez to emigracja londyńska pozbawiona będzie swego duszpasterza.

Jako datę zgonu ks. Brzezińskiego, ks. Zalewski podaje dzień 30 lipca 1855 r. O ostatnich ośmiu latach jego życia niczego bliższego nie wiemy.

SEKCIARZ WIERSZOPIS

Wspomniany już wyżej Szczepan Mazoch był, sądząc z jego pięciu pism ulotnych, wytloczonych w latach 1837 i 1838 w drukarni emigranta polskiego w Londynie S. Milewskiego, postacią raczej groteskową. Zachowanie się tych jego ulotek zawdzięczamy właśnie ks. Brzezińskiemu, który włączył je do opracowanego tomu różnych polskich broszur emigracyjnych z tego okresu — i oto tom ten z własnoręcznym podpisem S. P. Brzeziński znalazł się później, w wyniku czytelniczego daru czy zakupna, w bibliotece British Muzeum²⁾.

Już w tytule pierwszej z tych broszur, zbioru łacińskich utworów „lirycznych” p.t. „*Valedictio. Lirica. Eggredientis e Papismo Sacerdotis Stephani Mazoch. Parochi Ogródenensis*”, Mazoch podkreśla swe zerwanie z „papizmem”, tytułując się jednak nadal „proboszczem Ogródeno” (bez podania zresztą, w której części Polski ta wieś się znajduje). Drugie pismo, tym razem w języku polskim, nosi ty-

tuł „*Odezwa lub kazanie X. Szczepana Mazocha*”, trzecie to „*Pieśń nabożna do wielbienia Boga Żywego pobudzająca*”. Ulotka czwarta zawiera odezwy, datowaną d. 11 kwietnia 1838 r., w której Mazoch zawiadamia emigrantów polskich, że „*Komitet Unitaryuszów Angielskiej i Zagranicznej Assocjacji*” oddał Polakom do użytku kaplicę przy Stamford Street, Blackfriars, Waterloo Bridge, i że tam co niedzielę o 5 po poł. odbywać się będzie nabożeństwo polskie. Odezwa podpisana jest: „X. Mazoch, Unitaryusz”. W ręcznym dopisku na marginesie broszury ks. Brzeziński określa Mazocha, jako „*ex Plebana Katolickiego i ex Lutra*”.

Najbardziej niezwykły jest tytuł piątej i ostatniej broszury Mazocha, wydanej w r. 1838: „*Poema Heroicum Augustissimae Reginae Anglorum Victoriae celebrandis inaugurationis auspiciis sacrum*”. Oda ta zdaje się nawiązywać do najlepszych tradycji panegiryków epoki saskiej.

Propaganda sekiarska Mazocha nie znalazła najwidoczniej powodzenia wśród emigrantów polskich, nie bowiem już o niej od tego czasu nie słychać. Nie wiadomo też, co się stało z samym Mazochem, — być może powrócił do kraju, gdyż nie figuruje w żadnym ze spisów emigracyjnych.

KS EMERYK PODOLSKI (1816 — 1885)

Przez lat kilka po wyjeździe ks. Brzezińskiego Polacy w Londynie pozbawieni byli własnego duszpasterza, ale na krótko przed wojną krymską funkcję tę objął jeden z nowoprzybyłych emigrantów, ks. Emeryk Podolski (nie „Podelski”, jak mylnie wydrukowano w polskim tekście książki). Postać ta godna uwagi i wykazująca wiele podobieństw z ks. Brzezińskim. Obaj za młodu brali udział w konspiracjach patriotycznych w kraju, obaj odznaczali się gorącym uczuciem narodowym i zmysłem pracy społecznej, przy czym ks. Podolski, jak się zdaje, górował jeszcze nad swym poprzednikiem niestrudzoną rzutkością i energią. Obu wreszcie przewlekła choroba zmusiła do porzucenia pracy religijnej i społecznej, w którą tyle wkładali nieśląbnącego zapalu.

Po wojnie krymskiej, w której spełniał czynności kapelana przy polskiej dywizji Kozaków Sułtańskich w Turcji, ks. Podolski powrócił do Anglii i pełnił znów swe funkcje kapłańskie wśród emigrantów — z wyjątkiem trzyletniego okresu, od 1862 — 1865, kiedy głównymi duszpasterzami Polonii londyńskiej byli kolejno dwaj księża, przysłani z Wielkopolski na skutek starań gen. Władysława Zamoyńskiego: ks. dr. Chwaliszewski i później ks. dr. Jajdzewski. Wówczas to właśnie — w końcu r. 1862 — kardynał Wiseman wyznaczył dla Polaków osobną kaplicę w podziemiach nowozbudowanego, ale jeszcze nie wykończonego kościoła ks. Palotynów pod wezwaniem św. Piotra przy Hatton Gardens. Kościół ten miał służyć katolikom wszystkich narodów, w praktyce jednak, z powodu dużej liczby Polaków w Londynie, stał się „kościółem włoskim” — i tak też jest potocznie nazywany po dzień dzisiejszy.

P. Sawicki, opierając się na rozprawie ks. Jana Badeniego „Polacy w Anglii”, drukowanej w „Przebiegach Powszechnym” w r. 1890, wyraża przypuszczenie, że po wyjeździe ks. Jajdzewskiego i wskutek zupełnego wyczerpania się funduszy Polacy londyńscy przez następnych lat 12, t. j. do r. 1878, „pozbawieni byli polskiego pastora”. Nie jest to ściśle, gdyż właśnie na te lata przypada najbujniejszy okres działalności duszpasterskiej ks. Emeryka Podolskiego, o której ks. Badeni, pisząc swe studium, zdawał się nie wiedzieć; podobnie zresztą pominał całkowicie

1) Patrz „Trzeci Maj”, r. 1844, str. 207, i r. 1845, str. 177.

2) Tom ten pt. „*Polish Tracts*” obejmuje ogółem 24 broszury. Nr. katalogu Br. Mus. 9475. c. 32.

ks. Brzezińskiego. O pracy ks. Podolskiego dowiadujemy się jednak sporo zarówno z przypisów do pamiętnika zmarłych wstąpienia ks. Adolfa Bakanowskiego („*Moje wspomnienia 1840 — 1863 — 1913*”, Lwów 1913), jak i z roczników czasopisma „*Głos Wolny*”, które wychodziło w Londynie w latach 1863-1870, jako kontynuacja zawieszono-go w r. 1862 „*Demokraty Polskiej*”³⁾.

ARCYBISKUP MANNING OTWIERA KAPLICĘ POLSKĄ

Ks. Podolski postarał się przede wszystkim o nową kaplicę polską w miejsce podziemi „kościółka włościan”. Kaplica w tych podziemiach robiła na wszystkich wręcz przygnębiające wrażenie; oto co pisze o niej inny zmarłych wstąpienie, ks. Kajsiewicz, który odwiedził Londyn w r. 1865:

„Pokazywał mi (ks. Jazdzewski) kaplicę polską, rodzaj piwnicy ciemnej i wilgotnej. Bardzo to poetyczne, bo przypomina katakumby, ale cóż, kiedy niezdrowe, i niezlicznym robotnikom do nabożeństw daje powód słuszny do nieprzychodzenia”. (*Pisma*, tom III, str. 173).

Tym razem, dzięki pełnemu poparciu arcybiskupa (późniejszego kardynała) Manninga, który — w przeciwieństwie do swego poprzednika, kardynała Wisemana, zawsze wobec Polaków bardzo chłodnego, — wykazywał wiele przyjaźni dla Polaków, udało się uzyskać na kaplicę obszerny, jasny lokal, zajmujący całe piętro domu przy Gower Street 110, niedaleko Bedford Square, a więc w centrum Londynu.

Otwarcie kaplicy — jak donosi „*Głos Wolny*” w nr. 148 — odbyło się 25 sierpnia 1867 r. „z całą uroczystością religijną obrzędów”. Sumę celebrował ks. Rafał, pasjonista, w asyście dwóch księży, a kazanie wygłosił arcybiskup Manning. W kazaniu tym zachęcał Polaków do wychowywania młodego pokolenia w wierze przodków i podkreślił konieczność założenia szkoły polskiej dla dzieci emigrantów w Londynie. W zakończeniu wyraził przekonanie, że Polska nadal, jak to było w dawnych wiekach, pozostanie przedmurzem chrześcijaństwa w Europie. Dwie znakomite śpiewaczki ówczesne przy akompaniowaniu harmonium wykonały muzykę mszalną Mozarta. Po skończeniu mszy św. Polacy odśpiewali „Boże coś Polskę”.

Następnie ks. Podolski poprosił arcyb. Manninga o otwarcie biblioteki polskiej, liczącej kilkaset tomów, zebranych staraniem znanego działacza społecznego dr. Adriana Baranieckiego, przebywającego wówczas w Anglii. W wygłoszonym przy tej okazji przemówieniu arcybiskup rozwinął obszerniej pogląd swój na temat związku między nauce religii a wychowaniem w duchu narodowym. Dziękując arcybiskupowi dr. Baraniecki wręczył mu jako upominek medal, wybitny w czasie powstania 1863 r. na pamiątkę uwłaszczenia przez Rząd Narodowy włościan i równouprawnienia wyznań.

Kaplica przy Gower Street — pisze o niej obszerniej wobec braku jakiegokolwiek o niej wzmianki w książce — stała się na lat dziesięć wraz z położoną pod nią salą, w której odbywały się uroczystości i zebra-

nia, ośrodkiem, podtrzymującym ducha religijnego i narodowego Polaków londyńskich w tym szczególnie skąd inąd smutnym okresie powojennym.

Jak notuje „*Głos Wolny*”, w kwietniu 1868 r., z inicjatywy ks. Podolskiego, Polacy w Londynie obchodzili po raz pierwszy bardzo uroczyste Święta Wielkanocne. Po nabożeństwie, podczas którego śpiewał chór młodzieży polskiej, a ks. Podolski wygłosił kazanie, odbyło się w sali pod kaplicą święcone, w czasie którego przemawiał major Karol Szulczewski, długoletni sekretarz Tow. Literackiego Przyjaciół Polski, politycznie związany blisko z obozem Czartoryszczyków. Było to o tyle znamienne, że dawni członkowie Towarzystwa Demokratycznego, a więc ówczesnej lewicy emigracyjnej, zwykli byli uważać ks. Podolskiego za sympatyka swego kierunku. Ks. Podolski potrafił jednak wznieść się ponad podziały partyjne i zjednać sobie jako duszpasterz respekt i zaufanie u wszystkich.

Wiele energii pochłaniało ks. Podolskiemu ustawiczne staranie się o fundusze, emigranci polscy byli bowiem za ubodzy na to, by sami utrzymać kaplicę i lokal przy Gower Street. Dążeniem ks. Podolskiego było uruchomienie w Londynie szkoły polskiej i przytułku dla weteranów powstań narodowych. Czy mu się to powiodło, nie mogę stwierdzić, choć z „*Głosu Wolnego*” wynika, że katolicy angielscy pomagali w utrzymaniu kaplicy. Szczególną życzliwość darzył Polaków ks. kanonik Oakeley.

Kaplica polska przy Gower Street zamknięta została d. 30 września 1877 r.⁴⁾ W tym właśnie czasie ks. Podolski zmuszony był z powodu choroby porzucić wszystkie swe czynności. Żył jeszcze lat kilka; zmarł dnia 29 lipca 1885 r. Grób jego na cmentarzu St. Mary's, Kensal Green (gdzie pochowani są kardynałowie Wiseman i Manning) przykryty jest płytą z napisem w języku angielskim, mocno już startym i w większej części nieczytelnym.

Kiedy dwa lata temu grób ten odwiedziłem, superintendent cmentarza, p. Francis Houchin, uprzejmy i rozmowny staruszek, mówił mi, że slyszal od swego ojca — który go na stanowisku superintendenta poprzedził, — że ks. Podolski był „a great Polish patriot” i wielce się zasłużył dla sprawy polskiej. Rozmówca mój wyraził żal, że Polacy się tak mało grobem ks. Podolskiego interesują.

STRZAŁY W KOŚCIELE

Po ustąpieniu ks. Podolskiego Polonia londyńska pozbawiona znów była własnego duszpasterza przez rok mniej więcej, — aż do chwili, kiedy w r. 1878 przybył tu zmarłych wstąpienie ks. Adolf Bakanowski (1840 — 1916), który otrzymał od kardynała Manninga upoważnienie do sprawowania funkcji kapłańskich wśród emigrantów polskich.

Wskutek jednak braku funduszy powrócił znów musiano do kaplicy w podziemiu „kościółka włościan”, która tak ponure zrobiła wrażenie na Helenie Modrzejewskiej, kiedy ta przybyła do Londynu po raz pierwszy, wraz z mężem swym Karolem Chłapowskim.

Zamach rewolwerowy na ks. Bakanowskiego dokonany został przez Włocha z Szwajcarii, Aleksandra Scossę, w dniu 10 stycznia 1880 r. nie w kaplicy polskiej — jak czytamy w książce —, ale w samym kościele, gdzie ks. Bakanowski codziennie o godz. 10 rano odprawiał Mszę św., z reguły przy głównym ołtarzu. Rzecz ta dokładnie jest opisana we wspomnianych już wyżej pamiętnikach ks. Bakanowskiego.

Z pamiętników tych dowiadujemy się, że była to już trzecia próba zabawienia go życia. Na pewien czas przedtem nastąpiła na wielkim ołtarzu eksplozja świecy, wypełnionej materiałem wybuchowym. Ks. Bakanowski wyszedł z tego wypadku

bez szwanku, gdyż wyjątkowo w tym dniu odprawiał Mszę św. przy bocznym ołtarzu św. Józefa. Innym razem w wejściu do kościoła czyhał na ks. Bakanowskiego osobnik uzbrojony w rewolwer i sztylet, — czyhał bezskutecznie, gdyż ks. Bakanowski wyszedł z kościoła innymi niż zwykle drzwiami.

Ks. Bakanowski przypisywał te zamachy — jak wykazało śledztwo i rozprawa sądowa, słusznie, — walce, jaką w swych kazaniach i przemówieniach w Anglii i przedtem już w Stanach Zjednoczonych prowadził z tajnymi organizacjami przeciwnymi i terrorystycznymi. Zamachowiec Scossa działał niewątpliwie z ramienia jednej z bardzo

wówczas rozgątelionych konspiracji anarchistycznych. Skazany przez sąd w Londynie na dożywotnie więzienie, zmarł w kilka lat potem.

Sam ks. Bakanowski w parę miesięcy po zamachu odwołany został z Londynu przez swe Zgromadzenie — i znów Polacy tutejsi cierpieli na brak zorganizowanego życia religijnego.

Temu stanowi ciągłej niepewności i prowizoryczności kres położyła utworzona w r. 1894 stała Polska Misja Katolicka. Po chlubnej 54-letniej działalności w Londynie — w r. 1948 objęta ona swym zasięgiem całą Anglię i Walię.

Bogusław Przeradzki

ALEKSANDRA STYPUŁKOWSKA

LITERATURA W »SZEŚCIOŁATCE«

W STYCZNIU odbyło się w Warszawie pierwsze zebranie plenium Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Instytucję zwiększonego plenium powołał do życia walny zjazd delegatów, który przedłużył jednocześnie kadencję Zarządu do trzech lat. Sprawozdania prasowe z przebiegu obrad plenium odwołują termin „realizm socjalistyczny” i hasło planu sześciolatki przez wszystkie przypadki. Zachylając się osiągnięciami symboliki pisarsko-robotniczej, nie szczędzą jednakowoż krytyki w zakresie braków formalnych współczesnej poezji i prozy i wciąż jeszcze łagodnie upominają autorów, że ich stosunek do Partii nie znajduje dostatecznego wyrazu w dziele.

Warto dokonać przeglądu utworów pisarzy krajowych ostatniego dwulecia i pokusić się o próbę analizy piśmiennictwa tego okresu, w którym „realizm socjalistyczny” uzyskał prawo wyłączności. Istotną trudność w tym zamierzeniu stanowi nie tyle niedostępność książki krajowej, ile... jej zasadniczy brak. Weźmy do ręki którykolwiek numer miesięcznika „*Twórczość*”, czy tygodnika „*Nowa Kultura*” i sięgnijmy do rubryki: „*Książki nadane*”. Znajdziemy tam kilkanaście przekładów literatury rosyjskiej, parę tłumaczeń t. zw. postępowych pisarzy Zachodu, kilka nowych wydań książek polskich okresu pozytywizmu i czasem (choć nie zawsze) jakiś zabłąkany zbiór opowiadań lub powieści współczesnego pisarza krajowego.

Wiemy, że pisarze, którzy nie potrafią płodzić utworów zagrzewających do pracy nad wykonaniem planu sześciolatki, zamikli. Przestali nie tylko pisać, ale i mówić. Oto co pisze krytyk Roman Karst o dyskusji na plenium Zarządu Zw. Literatów: „...Debata napotykała na wewnętrzne opory, które hamowały otwartą i szczerą wymianę zdań. Nad dyskusją zaciążyła pewnego rodzaju inercja milczenia czy też niedopowiedzeń”. Inercja? Objaw ten nie jest bynajmniej przejawem bierności, lecz świadomą postawą samozachowawczą, tak jeśli chodzi o bezpieczeństwo osobiste, jak i o sumienie pisarza.

Przyjrzyjmy się jednak, jak wyglądają te nieliczne utwory, które odpowiadają wymaganiom reżymu. Obraz ich stworzyć sobie musimy rolnens volens na podstawie opowiadań i urywków powieściowych zamieszczanych w periodykach krajowych. Przede wszystkim rzuca się w oczy fakt, że w twórczości przeważa forma opowiadań. Powieści należą do rzadkości. Wyjaśnienie tego zjawiska jest proste. Pisarzem-propagandzistom brak jest długiego oddechu. Łatwiej jest napisać opowiadanie o przebiegu zebrań partyjnych, na którym zdemaskowano zaczajonego „faszystę”, niż powieść osnutą na podobnym temacie. Wątek oparty na walce i zwycięstwie „dobrego komunisty” czy przodownika pracy nad utajonym wrogiem klasowym i sabotażystą jest bowiem jedyną marzą, w której pisarzowi wolno się obracać. Ostatecznie może sięgnąć do tematyki historycznej, ale musi się trzymać zasad dialektyki materialistycznej i konfrontować każdy historyczny epizod z za-

sadami materialistycznego pojmowania dziejów. Pisarze katolicy uskakiwali dotąd często na szlaki tematyki historycznej. Obawiać się należy, że i tutaj ich postawa ideowa stanie się wkrótce przeszkodą w znalezieniu wydawcy.

Beletrystyka „realizmu socjalistycznego” posiada przeto, jak się rzekło, jeden watek. G. Polt w książce p. t. „*36 Dramatic Situations*” twierdzi, że w literaturze istnieje 36 zasadniczych wątków dramatycznych. Zubożenie tego wachlarza do jednego (37-go zapewne...) wątku sprawia, że pisarz czuje się jak w klatce. W rezultacie opowiadania czy powieści różnią się od siebie głównie imionami bohaterów i tłem, przyczem i tu do wyboru jest tylko fabryka i spółdzielnia rolnicza.

Z prawdziwą skruchą wyznać muszę, że żadnego z utworów odpowiadających wymogom socjalistycznego realizmu nie byłam w stanie przeczytać od deski do deski. Ale z pobieżnego wglądu dowiedziałam się niejednego. Ustaliłam naprzykład dokładnie, jakie znaczenie w produkcji cukru posiada wyparka, wiem już, co to torkretnice, przykładnice, transportery, fandle, pistolety (nie mieszać z bronią palną!) oraz kontraktacja świń. Ale niestety jestem nadal nieświadoma znaczenia skrótów ZOR, KG, GRN i utrudnia mi to ogromnie rozszyfrowanie istotnej treści utworów.

Według zasad realizmu socjalistycznego, postać powieściowa, zachowując cechy indywidualne powinna być jednocześnie postacią typową. Indywidualność postaci zaszczepia się w praktyce na tym, że pozytywny bohater Wacek woła: „Zasilajmy budowę socjalizmu!”, a pozytywny bohater Wicek: „Przekroczylimy normę!”. Typowość zaś sprowadza się do tego, że zarówno Wicek, jak Wacek zostają uświadomieni klasowo i demaskują Pawła i Gawła, którzy uświadomienie odrzucili.

Schemat powyższy można jednak podzielić na pewne grupy. Pierwsza z nich, to typ opowiadania kolchozowego. Stanowi ono z reguły paszkwil na „bogaczy wiejskich”, których niecielesni zamiary zostają odsłonięte przez uświadomionych członków Z. S.Ch. (Związku Samopomocy Chłopskiej, — tę krzyżówkę po dłuższych studiach rozwińmy...). Nowela zawsze kończy się klęską kulaków i triumfem „biedoty”. Czasem — przystąpieniem wsi do spółdzielni rolniczej, czasem — uchwaleniem kontyngentów zasilających produktami rolnymi braci robotników. Typowym przykładem tej grupy opowiadań jest nowela W. Machejka p. t. „*Zboże*”, zamieszczona w „*Nowej Kulturze*” z 28.1. b.r.

Drugą grupą będą opowieści „przemysłowe”, w których na plan pierwszy wysuwa się zagadnienie współzawodnictwa pracy. Dla lepszego obrazu sięgnijmy po przykład do listopadowego numeru miesięcznika „*Twórczość*”. Znajdziemy w nim opowiadanie R. Hussarskiego p. t. „*Próba*”. Rzecz dzieje się na budowie. Chodzi o próbę wytrzymałości stropu. I tylko o to. Akcji w opowieści nie ma żadnej. Całe opowiadanie sklecone jest beznamiętnie po to, by włożyć w usta świadomego robotni-

ka Konara wywód na temat współzawodnictwa, czyli mówiąc językiem robotniczym: „*ściganki*”. Pogląd ten, reprezentujący rzecz jasna doktrynę oficjalną, streszcza się następująco: współzawodnictwa nie należy rozumieć w sensie rujnującego zdrowie wysiłku. Można traktować je z biedą jako sport lub rozrywkę. Ale powinno się w nim widzieć rozwinięcie wynalazczości, sprawności, oszczędności narzędzi i dniówek. Nie tu miejsce na polemikę z tymi zasadami. Referuję je jedynie dla zilustrowania propagandowego toku opowieści.

Trzecią grupą są opowiadania typu reportażowego. Mają one przeważnie za przedmiot przebieg jakiegoś zebrań partyjnego lub produkcyjnego. W tym typie reportażu specjalizuje się S. Wygodzki. W opowiadaniu „*Aby żyć*” („*Twórczość*”, czerwiec 1950) opisuje on szczegółowo przebieg pewnego posiedzenia partyjnego, na którym odbywają się wybory do egzekutywy. Głosowanie poprzedza oczywiście samokrytyka, w rezultacie której dwaj kandydaci zostają dyskwalifikowani. Powodem dyskwalifikacji jednego z kandydatów jest fakt, iż wygadał się, że nie mogąc przed wojną znaleźć zajęcia w swoim zawodzie, zgłosił się na służbę do straży więziennej. W czasie zebrań nie umie trafnie odpowiedzieć na pytanie: kogo pilnowała straż więzienna? Drugi niefortunny kandydat traci mandat, gdyż oświadcza, że w Polsce przedwrzesniowej człowiek bez pracy mógł przyjąć funkcję strażnika więziennego, „a b y z y ć”. Następuje długi wywód innego uczestnika zebrań, uświadomionego komunisty, o tym, kto za czasów „sanacji” siedział w więzieniu. Więżniami byli więc: złodzieje, których ustrój kapitalistyczny pchał do kradzieży, bezrobotni, którzy kradli bochenek chleba dla głodnych dzieci i walczący proletariar robotniczy i chłopski. Reportaż kończy się jeszcze pokazaniem własnym autora, który uczestnicząc we wspomnianym zebraniu w charakterze urzędującego i jak widać zwierzchniczym, przeoczył w początkowym jego stadium szkodnictwo jednego z obalonych kandydatów.

Ostatnią wreszcie grupę opowieści stanowią paszkwile na Polskę przedwojenną, na ruch podziemny (nazwa AK jest nadal starannie o-mijana) i — last but not least — na emigrację. Do tej grupy wypada zaliczyć nie bez talentu napisany zbiór opowiadań B. Czeszki p. t. „*Początek edukacji*”. Na dobro autora trzeba zapisać pewne pogłębienie psychologiczne postaci. Typy są tu różniczkowane. Ale komunistyczny schemat poglądów na polskie podziemie pozostaje nienaruszony. Reakcję wyraża organizacja „*Miecz i Pług*”; świadomość klasową i patriotyzm — Armia Ludowa. Charakterystycznym dla tego autora jest wrogi stosunek do inteligencji. Źródłem tego można by się pewno doszukać w jakimś urazie osobistym. Ale uraz, czy namiętność dodaje rumieńców opowiadaniom. Nowele i powieści należące do wspomnianej grupy zjawiają się w literaturze krajowej coraz rzadziej.

3) „*Głosu Wolnego*” (podobnie jak „*Trzeciego Maja*”) nie ma w żadnej z bibliotek londyńskich. Znalazłem go w Bibliotece Polskiej w Paryżu.

4) Dom, w którym kaplica się mieściła, wraz z paru sąsiednimi domami, uległ zupełnemu zniszczeniu podczas Drugiej Wojny Światowej.

POLSKA MISJA KATOLICKA W LONDYNIE 1894-1944

KSIĘGA PAMIĄTKOWA

HISTORIA MISJI — DOKUMENTY — WSPOMNIENIA
JUBILEUSZ 50-LECIA

Format albumowy — Liczne ilustracje

Papier ilustracyjny — Estetyczna okładka

Cena 7/6 plus porto 6 d.

Zamówienia przyjmuje;

VERITAS F. P. C. — 12, Praed Mews, London W. 2.

Uznano widać, że robota została już odwalona. Punkt ciężkości przesunął się na zagadnienie wzmocnienia wytwórczości, jako cel najważniejszy i bezpośredni.

Pozostaje rozważyć, czy wyżej wymieniony schemat „chwytania” czytelnika krajowego. Zagadnienie produkcyjne jest w Polsce dominujące. Nad każdym życiem ludzkim ciąży też tragedia walki między tymi, co poszli za hasłem i tymi, co mu się czynnie lub biernie przeciwstawiają. Dlatego czytelnik krajowy przyjmuje zapewne tę literaturę inaczej, niż my. Piśmiennictwo realizmu socjalistycznego ma za zadanie zmienić stosunek człowieka do pracy. „Powieść, nowela, wiersz — pisze Roman Karst — są powołane do wzbudzania zapału, wskazania sensu wysiłków...”. A dalej: „...Literatura polska podejmuje się świadomie zadania popularyzacji doniosłych celów i zamierzeń planu sześciolatniego”. Uczucia, które ma budzić literatura propagandowa przez Karsta winny wypełnić nie tylko godziny spędzone przy warsztacie, ale i godziny wypoczynku. Czy wypełniają? Psychika ludzka zdaje się temu przeczyć. Człowiek sięga chętnie po książkę, której akcja rozgrywa się w znanym mu otoczeniu. Pod przeżycia bohaterów chętnie podsuwa doświadczenia własne. Przykładem poczciwość powieści pewnego typu na emigracji. Tematyka produkcyjna mogłaby zaletę w Polsce w pewnym stopniu grać. Mogłaby, ale wolno nam przypuszczać, że jest inaczej. Książki tego typu nie odzwierciedlają bowiem całego szeregu istotnych konfliktów i zmagania, pewne dziedziny są z nich wyklęte, nie ukazują tego co jest, a to co komuniści chcą żeby było, słowem — nie są realistyczne.

Zalóżmy jednak, że książka trafia w ręce przekonanego komunisty, który uległ już zamierzonemu przez partię przeobrażeniu, czuje się współtwórcą i współgospodarzem warsztatu. Czego taki człowiek oczekuje od pisarza? Zapewne, aby mu wskazał, co będzie u kresu jego wysiłku: trudno bowiem przypuszczać, aby traktował wysiłek jako cel sam w sobie. Jest rzeczą znaną, że w literaturze krajowej, ale i rosyjskiej, że żaden z pisarzy nie pokusił się o to, by przedstawić obraz bezklasowego kraju. Dla stosunków sowieckich jest to tym bardziej charakterystyczne, że zgodnie z materialistycznym pojmowaniem dziejów Rosja znajduje się w późniejszym stadium na drodze do komunizmu. Zwycięstwo „komunizmu w jednym kraju” proklamowane ma być już w r. 1960. Z tym rokiem nastąpi podobna nowa era, w której każdy człowiek otrzyma wynagrodzenie nie w stosunku do swej pracy, a w stosunku do swych potrzeb. Ekonomiści sowieccy głowią się już ponad sposobami przeprowadzenia tej zmiany. Ale pisarze milczą. Despoci z Kremla boją się, że fantazja twórcza poniesie ich zbyt daleko, a życie zada kłam tej utopii.

Aleksandra Stypulkowska

Polki: modlitewnik papierki

Z polecenia Ojca Świętego ukazał się w Księgarni watykańskiej „Mały Modlitewnik Polski”. Jest to książeczka małego formatu, 10 na 12 cm., zawierająca na 64 stronach Kalendarz Świętych Polskich, krótki katechizm, modlitwy podczas Mszy Świętej (tłumaczenia z mszału), modlitwy za Rzeczpospolitą i Prezydenta, przyciętowanie do spowiedzi i Komunii, litanie i modlitwy okolicznościowe, zbiór pieśni, zakoniecznych tekstem „Boże coś Polskę” i najnowsza pieśń „O Panie, któryś jest na niebie”. Jest to najkrótszy i najlepszy wybór potrzebnych Polakom modlitw. Korekta bez zarzutu, piękny druk i papier, rzecz łatwa do przesłania po prostu w kopercie. Jeszcze jeden tytuł do wdzięczności Polaków względem Ojca Świętego.

Modlitewnik jest do nabycia w „Libreria Vaticana, Città del Vaticano, Roma”.

ADRIAN CHALIŃSKI (Paryż)

Smutna starość „savoir vivre'u” narodów

KIEDY czytam codzienne wiadomości ze świata, zwłaszcza zaś z Korei, uderza mnie ta nieprawdopodobna zdolność improwizowania nowych form życia politycznego, zwłaszcza przez dyplomację wschodnią. Oczywiście, z każdej takiej nowości, każdemu takiemu „szlagierowi”, np. owych „ochotników” chińskich walczących w Korei, towarzyszy głębokie rozczarowanie Zachodu i cichy, nie zawsze wypowiedziany wyrzut: „jak można tak!”. Nie ulega wątpliwości, że te metody, ta „radosna twórczość” dyplomacji chińskiej, sowieckiej, czy satelickiej, niezwykle komplikuje grę, którą, przynajmniej na Zachodzie, tak chętnie by się rozgrywało wedle dobrych, starych recept, paląc dobre cygare hawańskie i popijając czarną kawę. Rozczarowanie dyplomacji zachodniej i jej ciągłe zdziwienie, nie są, niestety, nowością dla wszystkich. Powtarzają się jak afisz reklamowy jakiegoś środka do czyszczenia płam czy mydła do zębów w dużym mieście. Co jest natomiast nowe i co nie zawsze sobie uzmysławiamy, to fakt, że „Prawo Międzynarodowe”, będące jeszcze wczoraj alfą i omegą stosunków między narodami, dawno już wyrzucono na śmietnik, jak stary romans kryminalny, który, po przeczytaniu, nie przedstawia już oczywiście żadnej wartości.

Prawo Międzynarodowe uczyłem się na uniwersytecie z podręcznika prof. Juliana Makowskiego uzupełniając go różnymi innymi dziełami np. (o ile pamiętam) niejakiego pana Beudelièvre. Mając dużo sentymentu osobistego dla historii i lubiąc oglądać ludzką w tych jej odbiciach przeszłości, odnajdywałem też w Prawie Międzynarodowym sporo momentów świadczących o praktycznym postępie w myśleniu u ludzi. Prawo Międzynarodowe świadczy między innymi o tym, że udało się ludziom oblec zbrodnię i lajdaństwo w formę prawną. Gdy zwykle pozbawienie życia człowieka jest zbrodnią, pozbawienie go życia w pewien przepisany sposób jest tylko jednym z posunięć, wchodzącym w skład pewnej gry. Już początek „gry” jest ściśle obmyślony. Wojnę się wypowiedzi, przy czym minister pełnomocny czy ambasador wręcza ultimatum, po upływie którego, o ile nie nastąpiła odpowiedź żądana, automatycznie zaistnieje stan wojenny. Minister spraw zagranicznych kraju X każe wydać posłowi czy ambasadorowi oraz jego światu paszporty, po czym, po spakowaniu manatek, następuje odjazd z kraju X i automatycznie zaczyna grzmieć armaty, a wojska zwartymi kolumnami posuwają się w głąb kraju nieprzyjaciela (lub też odwrotnie nieprzyjacieli się posuwają w głąb kraju X.).

Wszystko to takie proste, sielankowe, piękne, jak wyjęte z starego obrazu przedstawiającego jakąś bitwę z XVIII wieku: wódz na białym koniu, w rozwianej peruce, śledzi przez lunetę rozwój bitwy. Jeden lub dwa konie zabite leżą opodal aby widz nie stracił wrażenia, że tu chodzi o rzeczy serio, a jakiś żołnierz z bardzo bladą twarzą obwiązuje sobie zakrwawioną rękę, rzucając smętnie dookoła oczami. Natomiast w dalszym planie widać pięknie postępujące czworoboki żołnierzy, których malarz zaznaczył parą oczu, wąsikiem, stosowanym kapeluszem i bagnetem w rękę, niby zabawki z drzewa, widziane w perspektywie. Ostatecznie i dziś, jak w wieku XVIII, żołnierz nie jest niczym innym jak zabawką jeśli nie ludzi to sił decydujących o jego losie. W owym świecie osiemnastowiecznym, w którym panowało tak ściśle poszanowanie przepisów, kiedy kwestia formalności była zasadniczą, kiedy tracono tyle czasu na ustalanie pewnych protokolarnych finezji, Prawo Międzynarodowe było „vademezum” dobrego tonu dyplomacji. Począwszy od słynnego

„coupe-fil”, t.j. prawa pierwszeństwa dla karet ambasadorów i dyplomatów przed karetami innych śmieślników, od formalności przy wymianie listów uwierzytelniających, różnych formulek à la „persona grata”, „exequatur”, „chargé d'affaires”, jeśli chodzi o zastępcę posła, a „chargé des affaires” — jeśli mowa o specjalnie wydelegowanym do traktowania pewnej sprawy dyplomacie, a skończywszy na grubo ważniejszych sprawach, np. na poglądach dotyczących wzajemnych stosunków między państwami. Prawo Międzynarodowe pełniło funkcję ni by gubernantki poskramiającej możliwe wybuchy złego humoru czy wychowania swych pupilów.

Oparło się przede wszystkim na zasadzie „pacta sunt servanda” — należało dotrzymywać zobowiązań! Wieki były potrzebne, aby ludzkość doszła do tego przekonania, wieki zmagania, wojen, zasad, bohaterstwa, postępu, wygranych i przegranych bitew. Drugim czynnikiem zasadniczym, to przyznanie posłowi charakteru wyjątkowego i zgoda na złożenie w jego osobie godności i powagi państwa reprezentowanego. Herold, który poprzedził posła właściwego, miał przywilej nietykalności, był odbiciem swego monarchy. Stąd posel przez wiele wieków uchodził za istotę nieomal nadprzyrodzoną. Skutkiem tego stanu rzeczy była eksterytorialność gmachu poselstwa: nawet najbardziej ludzkie i najmniej dyplomatyczne funkcje, posel spełnia... eksterytorialnie! Stąd osoba jego jest otoczona nimbem: gdy mu stąpniez na odcisk, wkraczasz na teren obcego państwa, a więc uważa! Stąd też tyle w dziejach zatargów i konfliktów, wywołanych przez jakieś uchybienia posłowi: gdy bej Algieru Hussein, zirytowany na przedstawiciela Francji konsula Deval, uderzył go w twarz wachlarzem, którym się oganiał od much, stanowiło to „casus belli” dla Francji, czego skutkiem była ekspedycja francuska w dniu 7 lutego 1830 r. Podobny wypadek komplikacji dyplomatycznej z powodu obrażenia symbolu — żywego czy martwego, zdarzył się, gdy nowy przedstawiciel Francji rewolucyjnej w Wiedniu, generał Jan Chrzcziciel Bernadotte, kazał na pałacu ambasady przy Wallnerstrasse wywieść olbrzymią chorągiew republikańską, która zwracała uwagę przechodniów — zwyczaj ten bowiem nie istniał wtedy w Wiedniu. Ludność, niechętna republice, po długich manifestacjach zdarła chorągiew i spaliła ją na ulicy. Bernadotte zażądał, by rząd austriacki kazał wciągnąć taką chorągiew na maszt, wobec odmowy jednak zwrócił się z listem protestacyjnym do ówczesnego ministra spraw zagranicznych barona von Thuguta powołując się raz po raz na Prawo Międzynarodowe.

Prawo Międzynarodowe jest więc skodyfikowaniem i uporządkowaniem różnych dziedzin życia ludzkiego i istotnie oddaje poważne usługi. Niestety, coś się w tym systemie, w tej budowlu, psuje i kruszy: coraz mniej jest zrozumienia dla „Ius gentium”, które, wraz z innymi, poczyna tracić myślką i wraz z peruką, laską marszałka dworu i orderami, symbolizować poczyna jakiś „ancien régime” sięgający króla Dageberta.

A jednak było mi dane widzieć na własne oczy w młodości jeden z tych — ostatni już — pomników krzepkiego jeszcze wtedy Prawa Międzynarodowego i Prawa Państwowego w ogóle. Gdy w r. 1915 Włochy wypowiedziały Austro-Węgrom wojnę, na murach c.k. krajów austro-węgierskich pojawiły się afisze, których nagłówek stanowił dwugłowy orzeł, a poniżej następował manifest zatytułowany „An Meine Völker”, po czym rozpoczynał się tekst tymi słowami:

„Der König von Italien hat Mir den Krieg erklärt...”

„Król włoski wypowiedział Mi wojnę...”

W tym krótkim zdaniu jest przecież więcej treści historycznej, niż w niejednej książce: najprzód: wojny wypowiedziały się monarche, a nie państwu, którego był on najbardziej istotnym symbolem; *secundo*: duża litera słowa „Mi” wyraża, że chodzi tutaj o rzeczy najważniejsze, jakie w ogóle można sobie wyobrazić. Do dziś jednak, choć od tej chwili przeszło lat 36, nie rozumiem, dlaczego Franciszek Józef nie użył wtedy „pluralis maiestaticus”, lecz pisał po prostu „mnie” — choć dużą literą? Nie wątpię jednak, że był powód logiczny, prawny, historyczny: Austria — to nie dzisiejsze państwo: wszystko co się działo w maszynie państwowej miało uzasadnienie co najmniej historyczne, często nawet praktyczne, mimo ówczesnego psionczenia na „österreichischer Schlen-drian” (bałagan austriacki). Cóż by należało powiedzieć o obecnym bałaganie!

Świat ówczesny, opierający się na tradycjach, praworządności, na monarchii, kierował się Prawem Międzynarodowym, jeśli nie zawsze w duchu, to zawsze co do litery, ale przede wszystkim kierował się wytyczną ideą. Między tym, co wynikało po prostu z dziejów danego kraju, jego charakteru, celów, interesów i tym, co było temu przeciwnie, była ściśle nakreślona linia, a raczej rów, głęboki jar. Dziś tego jaru nie ma, zatarty się linie historyczne, ideologiczne, zostały jedynie linie interesów podpadających fluktuacjom dosyć silnym.

O ile chodzi o stronę zewnętrzną Prawa Międzynarodowego, to w naszych czasach *ostatni* zastosowali je Włosi wpowiadając Grecji wojnę w r. 1942, (ultimatum, wydanie paszportów, odjazd chłodny i pełen godności, oraz następnie przystąpienie do walki)... Włosi znają się jeszcze na tych rzeczach: koneserzy starożytności... Nie znał się na nich dynamiczny Hitler, który wolał posyłać bombowce bez uprzedzenia. Znalazł zresztą wielu naśladowców: a może to on był pierwszym naśladowcą? Trudno się rozeznąć.

W każdym razie dziś dla prawnika, który prowadził żywot na pisaniu jakiegoś podręcznika „Ius gentium” nastąpiły czasy istotnie niewdzięczne. Cały epizod koreański jest jednym olbrzymim zaprzeczeniem Prawa Międzynarodowego, ale też prawa w ogóle, nie mówiąc już o pomniejszych czynnikach życia, jak np. logice, rozsądku itd. Bo proszę tylko pomyśleć:

Chiny komunistyczne obejmujące około 460 milj. ludności nie są reprezentowane w UNO, ale wyspa Formoza jest reprezentowana jako Chiny. „Ochotnicy” chińscy w ilości ok. miliona walczą w Korei, ale UNO nie uznaje Chin jako oficjalnych sojuszników północnych Koreańczyków, mimo wszystko, akceptując etykietę „ochotników”.*) Jeszcze bodaj jaskrawszymi przykładami przekreślenia przez obecne życie wszelkich dawnych koncepcji Prawa Międzynarodowego jest fakt, że Alianci po pięciu z górą latach nie zawarli jeszcze pokoju ani z Niemcami ani z Japonią. Wprawdzie po pierwszej wojnie światowej zapomniano znieść stan wojenny między Niemcami a księstwem Monaco (i San Marino), co wypłynęło na wierzch w chwili, kiedy księstwo miało położyć swój podpis na dokumencie, gdzie figurował również podpis Niemiec, ale chodziło wtedy o inne księstwo Monaco... Inkorporacja trzech republik bałtyckich przez Rosję nie została przez resztę świata (a przynajmniej przez Aliantów) ani uznana ani odrzucona; trzy te państwa nie tylko zniknęły z karty geograficznej, z almanachów dyplomatycznych, ale wpały jak igła w kopę siana. Z wschodniej strefy okupacyjnej Niemiec zrobiono naraz państwo. Poco przytaczać dalsze przykłady, aby zobrazować pomieszenie

*) Artykuł był pisany przed uznaniem Chin za napastnika. Dop. RED.

stosunków w świecie, pomieszenie, które złośliwie zmusza nieszczęśliwych „speców” od Prawa Międzynarodowego do łamania sobie głowy nad systematyzacją tych zjawisk.

Do r. 1918 za szczyt komplikacji w zakresie prawa państwowego i Międzynarodowego uchodzili dwa kraje: Austro-Węgry, z tytułu dualizmu i podziału każdej z części na poszczególne części historycznie pozostające równie między sobą w specjalnych stosunkach prawnych, oraz Egipt z powodu Sudanu, zarządzanego, jak wiadomo, przez Wielką Brytanię łącznie z Egiptem przez gubernatora proponowanego przez kedywa i mianowanego przez króla angielskiego. Skomplikowane też były różne s.p. księstwa niemieckie później zmediatyzowane, z powodu swej liczebności, swych pretensji dynastycznych sięgających czasów Karola Wielkiego, swego rozczłonkowania, ale to dało się, mimo wszystko, sprowadzić do jakiegoś wspólnego mianownika, choćby ten mianownik był liczbą o czterech cyfrach. Można je było rozważać na wspólnej płaszczyźnie pewnych uznanych autorytetów. W razie kłótni można się było odwołać do jednego z „ojców” Prawa Międzynarodowego: Puffendorfa, Leibniza itd. Dziś, niestety, brak właśnie wspólnej płaszczyzny: jedno zagadnienie mieszka na parterze, drugie żyje na 45 pięttrze „sky-scrapera”. Jakżeż mają się spotkać w domu, gdzie nie ma windy?

W tym wszystkim wyczuwam rozdenerowanie się jakiegoś nowego „stylu”, nowych form, odznaczających się właśnie ich brakiem, nowych poglądów, scharakteryzowanych bezideowością, jedno bynajmniej jedynie pod adresem jednej z części świata Zachód — Wschód lecz pod adresem ludzkości w ogóle. Technika zapewne, nowe warunki życia, może jakieś czynniki biologiczne, nowe tempo życia, wszystko razem, pozbawiają nas coraz bardziej zrozumienia dla Prawa Międzynarodowego. Staje się „hobby” kolekcjonera, hobby niewinnym ale też nie bardzo godnym uwagi, jak zbieranie starych fajek, szpilek do krawatu, parasoli (bez aluzji!). Dochodzimy do jakiejś fazy nowej: jak nasi przodkowie, którzy walcząc z sobą „na dziko”, w końcu przekonali się, że trzeba respektować przynajmniej pewne zasady, bo to wychodzi obu stronom na dobre, może i my również wymyślimy jakiś nowy punkt widzenia, który zapoczątkuje nową naukę, nową dyscyplinę mającą zastąpić Prawo Międzynarodowe. A może te poglądy są z mej strony pesymizmem i można mi przeciwstawić, jako dowód przeciwny, powstanie Zjednoczonych Narodów i ich wystąpienie, mniej więcej zgodne, w Korei? Chciałbym się mylić, ale uważam UNO za kosztowne, piękne, nieźle nawet chwilami zorganizowane przedstawienie, coś w rodzaju gigantycznych gier olimpijskich. Do pełnego życia brak im tymczasem potrzebnych mecenasa, który by im pozwolił przeżyć ciężki okres pierwszego dzieciństwa. Do chwili kiedy nie zaczną chodzić na własnych nogach, ktoś musi je prowadzić za rączkę, ale ktoś silny i nie znający żartów z dzieckiem.

Prawo Międzynarodowe ustępuje kodeksowi „dziu-dzitsu” czy „kieszonkowemu podręcznikowi dla gangsterów”. Ale nie traćmy nadziei, gangsterzy też mają swój system, swe prawo, swą moralność, choć nieco oryginalną.

Zjawisko, które starałem się nieco naświetlić, nie jest takie nieoczekiwane i nowe: ten sam los co Prawo Międzynarodowe, spotyka każdy kodeks dobrego tonu po kilkudziesięciu latach. Istniał taki podręcznik pióra baronowej Taaffe: już przed ostatnią wojną budził, u mnie przynajmniej, żywą radość i wesołość, gdyż był pisany, zapewne, za czasów, kiedy świat się głowił nad tym, czy arcyksiążę Rudolf popełnił samobójstwo, czy został zastrzelony?

A od tego czasu niejedno się zmieniło...

Adrian Chaliński

PO ZGONIE ANDRÉ GIDE'A DEBIUT M. Z. JABŁOŃSKIEGO

Zmarły w Paryżu d. 19 lutego br. w wieku 81 lat André Gide posiadał w wysokim stopniu świetne właściwości intelektualne swego narodu. Cechowała go przede wszystkim — jak tytuł innych pisarzy francuskich — ciekawość duszy ludzkiej i wszelkich spraw ludzkich, oraz wrażliwość i czujność na wszystkie nowe objawy w tym zakresie.

Brakło mu wszakże jednej rzeczy: wiary — i to nie tylko wiary w Boga, jaką daremnie starał się rozniecić w nim inny wielki pisarz francuski, gorący katolik, Paul Claudel. Nadmierny sceptycyzm intelektualny w połączeniu z chciwym chłonięciem nowych wrażeń i spostrzeżeń, nie pozwalał Gide'owi na trwałe poglądy w jakimkolwiek bodaj zakresie. Podobnie jak niektórzy z bohaterów jego powieści, posiadał dużą dyscyplinę umysłową przy równoczesnym braku silniejszego kośca ideowego i moralnego.

Był powieściopisarzem, nowelistą, krytykiem literackim, essayistą, autorem pamiętników. Odnaczał się wielką jasnością stylu, lecz poziomem artystycznym nie dorównywał najwyższej klasie pisarzy francuskich.

Na twórczość jego silny niewątpliwie wpływ wywarł Nietzsche i pisarze rosyjscy. Podziw, jaki Gide czuł dla Rosji, przyczynił się zapewne do sympatii, którą przez szereg lat żywił dla systemu sowieckiego. W r. 1931, w swych „Pages du Journal” Gide zadeklarował, iż dla Związku sowieckiego gotów jest nawet poświęcić życie. W cztery lata potem odbył podróż do Rosji i wrócił całkowicie wyleczony ze swych sentymentów. Ze zwykłą sobie szczerością i bezpośredniością dał temu wyraz w dwóch książkach: „Retour de l'U.S.S.R.” i „Retouches à mon retour de l'U.R.S.S.”. Ze strony sowieckiej książkę tę wywołały oczywiście gwałtowną reakcją: wielbiony dotąd i okadzany Gide uznany został za „burżuazyjnego dekadenta”.

Z powieści Gide'a najczęściej rozgłoszonymi zjednały mu dwie: „L'Immoraliste” („Człowiek niemoralny”, 1902) oraz „Les faux-monnayeurs” („Falszerze pieniędzy”, 1925). Napisał m. in. studium o Dostojewskim (1923) i dwa tomy wspomnień z podróży do Afryki: „Voyage au Congo” (1928) i „Retour du Tchad” (1929).

Szczególnie zainteresowanie w kołach intelektualnych budził zawsze jego „Journal”, — pamiętnik, który Gide prowadził przez lat przeszło pięćdziesiąt i którego większa część została już ogłoszona drukiem. Pamiętnik ten poświęcony jest głównie ludziom, z którymi Gide się spotykał, i sprawom literackim.

W r. 1947 Gide otrzymał nagrodę literacką Nobla, — jak brzmiał uzasadnienie — za swą „rozległą i ważną artystycznie twórczość pisarską, w której przedstawiał zagadnienia ludzkości z nieustraszoną miłością prawdy i psychologiczną wnikliwością”. Na krótko przedtem Gide przybył do Anglii, gdzie uniwersytet oksfordzki obdarzył go godnością doktora honorowego literatury.

GIDE, CLAUDEL I CONRAD - KORZENIOWSKI

Gide był gorącym wielbicielem twórczości pisarskiej Józefa Conrada-Korzeniowskiego. Wraz ze zmarłym w roku ubiegłym G. Jean-Aubry'm był redaktorem francuskiego wydania zbiorowego dzieł Conrada. W jego przekładzie — a był dobrym znawcą języka angielskiego — ukazał się conradowski „Tajfun”.

Po zgonie Conrada czołowe wówczas literackie czasopismo francuskie „La Nouvelle Revue Française” wydało specjalny zeszyt, poświęcony zmarłemu wielkiemu pisarzowi. Swe wspomnienia o Conradzie ogłosił tam również Gide.

Stwierdza on w nich, że Conrada jako pisarza poznał dzięki Claudel'owi. W czasie pewnego obiadu — opowiada Gide — jeden z współbiesiadników mówił z entuzjazmem o Kiplingu. Claudel słuchał tego z uśmiechem nieco wzgardliwym i rzucił nazwisko Conrada. Nikt z obecnych go jeszcze nie znał.

— „Cóż więc należałoby czytać z Conrada? — zapytał ktoś.

— „Wszystko — odrzekł Claudel. — Wymienił „Murzyna z załogi

Narcyza”, „Młodość”, „Tajfun”, „Lorda Jima”...

„Żadna z tych książek — dodaje Gide — nie była jeszcze przełożona na język francuski. Zaraz zanotowałem ich tytuły, i z tą chwilą nawiązany został pierwszy kontakt”.

Gide opisuje następnie pierwsze swe zetknięcie się z Conradem w ówczesnej rezydencji pisarza Capel House w Kencie, gdzie Gide spędził kilka dni. Nie było to spotkanie ostatnie.

W charakterystyce Conrada Gide podkreśla między innymi jego świetną i głęboką znajomość literatury francuskiej. W tym zakresie upodobania Conrada wykazywały dużą zgodność z ocenami Gide'a. Rozmowy przedłużały się bez końca. „Na jednym tylko punkcie — zaznacza Gide — nie mogliśmy dojść do porozumienia: samo nazwisko Dostojewskiego wywoływało u Conrada gwałtowny dreszcz odrazy. Sądzę, że jacyś dziennikarze przez niezgrabne zagadywanie podsyłali rozjątrzenie Conrada jako Polaka przeciw wielkiemu Rosjaninowi, z którym niezależnie od tego łączą go ukryte podobieństwa, ale którego z całego serca nienawidził. Mówienie do niego o Dostojewskim z reguły sprowadzało nowy wybuch gwałtownego oburzenia”.

„Trudno było o coś bardziej serdecznego, bardziej czystego i bardziej męskiego — pisze Gide dalej — niż uśmiech, spojrzenie, czy głos Conrada... Choć wielka była jego ciekawość mrocznych zakątków duszy ludzkiej, nienawidził wszystkiego, co u człowieka jest obłudne, niskie, nikczemne. Tym, co w nim najbardziej kochałem, był — jak sądzę — rodzaj wrodzonej noblesy, szorstkiej, wzgardliwej i nieco zdesperowanej — jaką sam obdarzył Lorda Jima i dzięki której jest to jedna z najpiękniejszych książek, jakie znam, zarazem zaś jedna z najsmutniejszych — i jedna z najbardziej pobudzających”.

R. S.

Czy plan Marshalla może być powodem nawrócenia?

Mito i pożytecznie jest czytać „Wiadomości”, gdyż zawsze można w nich znaleźć wybrane wspomnienia i, pyszne essaye (Wacław Zbyszewski!), interesujące dociekania polityczne, nieco dobrej prozy beletrystycznej, piękne wiersze najlepszych poetów polskich, t. zn. oczywiście skamandrytów, celne krytyki, a zwłaszcza dwójakiego rodzaju niezrównane materiały: „Silva rerum” i „Listy”. „Listy” są barwnym obrazem polskiej umysłowości emigracyjnej, a „Silva rerum” świadectwem wytwornej kultury i smaku literackiego naczelnego redaktora pisma — Mieczysława Grydzewskiego.

„Wiadomości” byłyby jednak bez wątpienia jeszcze miłszym i pożyteczniejszym pismem, gdyby się pozbyły okrutnie płaskiej manieri samodurstwa i stawiania się ponad wszystko i wszystkich. Bowiem zwłaszcza dział „Czytelnicy o Wiadomościach”, z którego się nieomal dowiadujemy, iż każdy kolejny numer tygodnika jest nową kartą historii kultury powszechnej, a każdy szkic czy wspomnienie pieczęcią nowo objawionego geniusza — wedle naszego gustu zbyt przypomina prowincjonalny sztyl sklepu korzennego, względnie wywieszki słabo uczęszczanej garkuchni.

Ten zapach korzenny niestety snuje się niekiedy i poprzez inne działy znakomitego pisma. Posiada ono m. in. bardzo interesujący przewodny przegląd czasopism. Wśród góry ziarna tych trafnych streszczeń i przytoczeń pojawiają się ostatnio coraz częściej czarne nasiona kłokotu.

Lector, który omawia w „Wiadomościach” czasopisma polskie i obce, wyniki swej lektury opatruje niezmiernie apodyktycznymi komentarzami, nie oglądając się na to, czy ma do czynienia z polityką, literaturą, plastyką, nauką, czy zgoła teologią. Temperament zaiste na miarę Oświecenia.

Mimo całej zyczliwości dla „Wiadomości” i ich Lectora niestety jes-

JEDNYM z najlepszych mierników dobrego i złego w sztuce jest żywość reakcji u odbiorcy. Jeśli chodzi o naszą twórczość teatralną na emigracji, to trzeba przyznać, że grzeszy ona niewątpliwie tym, iż budzi na ogół za słabą reakcją. Rzadko zdarza się sposobność do rzetelnego zachwytu i może jeszcze rzadziej spotykamy się w krytyce z ostrą odprawą. Za często chodzi o rzeczy bądź przeciętne, bądź słabe, na które po prostu macha się ręką i reaguje co najwyżej pobłażliwie. To pogłębia zaślój, nie łagodząc kryzysu, lecz lekceważąc go. Wynik dla teatru jest jeszcze bardziej morderczy.

Dlatego tak chętnie wypatrujemy wszelkich nadziei, nowych zadań i zapowiedzi. Nie tylko dla ich własnych wartości, ale również dla wpływu, jaki mogą mieć na ogólną sytuację w życiu teatralnym. Bo oprócz kryzysu twórczości teatralnej, jest też kryzys w zakresie oceny tej twórczości. Jest to kryzys szerszy, niż sam kryzys krytyki. Nie polega on tylko na różnicy oceny utworu teatralnego i widowni przez autora, reżysera, krytyka i publiczność. Te różnice zawsze istniały. Ale na rozbieżności nie tylko ocen, ale i zaufania do ocen, na braku ścisłego kontaktu między tymi czynnikami ocenającymi i porozumienia.

Zawsze autor był przekonany, że napisał arcydzieło, dyrektor teatru zawsze ryzykował swój prestiż i pieniądze opowiadając się za tą, czy inną sztuką, krytyk trzymał się swoich proberzy i tęsknot, a publiczność zawsze była kapryśna: często podoba jej się siaba szmira, czasem pragnie rzeczy wielkich, a gdy się pojawią, odwraca się do nich plecami. Ale były i pewne punkty niejako stałe i powszechnie uznane. Był żelazny repertuar klasyczny, stopniowo odnawiany, były ambitne nowe sztuki, dociągnięte do poziomu wymagań współczesnych, krytykiem był nie każdy władający piórem i mający dostęp do słowa drukowanego, a widz nie uważał się w masie za ostateczną i najwyższą instancję.

Mamy niemal 10 lat ciągłości teatralnego życia, ale nie mamy zad-

nego ciągłego dorobku w zakresie repertuaru. Znane są przyczyny, ale nigdy nie przyznano im okoliczności łagodzących. Młodzi autorzy w sumie ponad miarę rzecz można wykorzystują pobłażliwość ludzi teatru: dyrektorów, aktorów i krytyki, obniżając ponad miarę poziom. Teatr był może nazbyt zajęty czystą walką o byt. A w krytyce brakło ciągłości obserwacji, określonych mierników, było więcej sobiepaństwa, niż wnikliwej analizy i argumentacji. O widzu była już mowa. Dla niego przeznaczone te rozważania, a nie wiadomo, w jakim stopniu w ogóle do niego dotrą. Zresztą swoje przewinienia zna on zapewne sam dobrze lub niezgorzej od nas.

Dzięki temu wszystkiemu względna jest wartość pośrednictwa krytyki pomiędzy autorem, aktorem i widzem, czy też jego rozjemstwo między autorem i dyrektorem teatru. Powstało ogólne odosobnienie, rozsypanie, rozproszenie. Brak zwygo kontaktu, choćby połączonego z najjaźniejszym wykluczeniem się lub wzajemną zachętą do apłauzu lub potępienia. Widz boczy się na teatr, który do niego nie przemawia, na krytykę, której najczęściej nie czyta, aktorzy i reżyseria boczają się na krytykę, gdy chłasta lub zbywa, autor na teatr, gdy stawia wymagania itd.

Nie chodzi bynajmniej o skrepowanie czyjejkolwiek swobody pisania, czy wypowiedziania się, ale o to, by się odbywało w warunkach określonej odpowiedzialności. A przecież istnieją nawet instytucje, które mogłyby odgrywać w życiu teatralnym rolę neutralnego terenu, na którym ścierałyby się opinie w sprawie zasadniczych potrzeb twórczości teatralnej. Więc o ile to dotyczy istniejących utworów i pomysłów, potrzeb widzów, warunków pracy teatru itd., pozwalaloby się ścierać się z sobą wszystkim czynnikom składającym się na życie teatralne. Cóż kiedy instytucje te uważają za bardziej wskazane budzić tylko pogadankami zaciekawienie teatrem dla celów czysto powiedzmy charytatywnych, więc zdobycia trochę dodatkowych środków finansowych na załatwienie najważniejszych nie-

doborów teatralnych. Jes; to niewątpliwie działalność cenna, w dostojnym znaczeniu, ale nie wystarczająca. Podtrzymująca tylko dotychczasową vegetację, ale nie dająca rumieńców życia teatru.

W tej sytuacji nic dziwnego, że krytyk teatralny nie raz zostaje zaskoczony nowymi poczynaniami teatralnymi, zasypywany sztukami, przy czym musi się rozprawić raz po raz z nowym autorem, nowym aktorem, czy składem zespołu za jednym zamachem, bez przygotowania i to w kilkudziesięciu wierszach recenzji, bo na więcej nie pozwalają zazwyczaj i tak szczerze ramy prasy emigracyjnej. Musi nie tylko żywo zareagować na nowe wrażenia, ale jednocześnie bawić się w rozwiązywanie różnych zagadek i czasem prorokować. Zadanie detektywa i maga zarazem. Zwłaszcza, że nie ma zazwyczaj i programów, i teatralnej prasy fachowej, która by przygotowała też widzów i dawała im niezbędne elementy oceny. Krytyk jest przeciętnie tylko odmianą widza, trochę wybraną, ale nie zawsze dość przebraną, zwłaszcza, gdy w roli krytyka występują przebrani autorzy, aktorzy lub kierownicy zespołów.

Ten wstęp ogólny powinien być wyprowadzić próbę zdania sobie sprawy z pierwszej sztuki pt. „Dziwna zbrodnia Marka Pokory”.

Z jaką wystąpił przed forum publiczne nowy autor p. M. Z. Jabłoński. Poruszenie tych spraw wskazuje, że sztuka ta nie pozostała nas obojętnymi, lecz kazała sięgnąć do całego spłotu spraw żywotnych dla naszego życia teatralnego. To niewątpliwie pierwszy jej plus. Zwłaszcza, że nie pokazała się normalnie, na scenie, lecz niejako na estradzie, kameralnie, w salonie, w klubie YMCA w Londynie. Więc bez całej magii dekoracji, gry, światła itd. Ta próba czytana, a właściwie coś więcej, bo szkic próby sytuacyjnej, urządzona została przez Związek Artystów Scen Polskich na Obczyźnie. Wyprowadziła ją podobna impreza w „Ognisku”, gdzie odczytano „Przeplóreczkę” Żeromskiego. To, razem z zaciekawieniem nową sztuką nowego autora, sprawiło, że sala była nabitą, a zainteresowanie olbrzymie i pierwsza reakcja bardzo żywa.

Jak mówi podtytuł, sztuka Jabłońskiego jest „Procesem w 4 odsłonach”. Nie odbywa się on jednak tu, na ziemi, lecz gdzieś w zaświatach, w jakimś czyscu, gdzie sprawy doczesne mają jeszcze żywe echo. W skład zespołu aktor-skiego wchodził następujący artystyczny skład: Szpiganowicz w roli Marka, Felsztynski jako sędzia Juan d'Esperanza, Zięciakiewicz — oskarżyciel Stone, Modrzenski jako obrońca Fra Angelico, Tom w roli woźnego Rotha, Rymasz-Szymanski jako świadek Franciszek Schultz, a Halicz jako świadek Wasyl Hryčko, wreszcie p. Baczyńska-Orłowiczowa jako Mlle Coquette. Symboliczne nazwiska postaci dramatu wskazują, że jest to zainscenizowana alegoria.

Ta transpozycja warunków doczesnych, życiowych, w inne wyższe rejony jest interesująca i stosunkowo świeża. Sąd w teatrze był chwytem już znanym, a sąd w niebie wprowadził chyba dopiero film („Sprawa życia i śmierci”, „Orfeusz”). W polskim dramato-pisarstwie jest to rzecz nowa. Jabłońskiemu chodziło, aby na przykładzie fikcyjnego procesu wytoczonego nieszczęsnemu Markowi Pokorze za samobójstwo w ucieczce przed ciosami losu wykaazać, w jak tragicznej sytuacji znaleźć się może Polak i aby pobudzić emigrację do czynu. Sąd ma rozstrzygnąć, czy było to morderstwo, czy też tylko zabójstwo popełnione w obronie własnej. W toku akcji dowiadujemy się, że bohater przeszedł przez okupację, służył w wojsku niemieckim, walkę w AK, obóz w Oświęcimiu, pracę w Resistance i przez PKPR starał się wrócić do życia normalnego, na emigracji, skoro nie można w Kraju. Ma wiele kart pięknie zapisanych, ale ostatecznie się załamał w obliczu złożonych problemów emigracyjnych. W ogniu krzyżowych pytań sądu oskarżony znajduje się do winy, ale sąd nie wydaje wyroku, pozostawiając rozstrzygnięcie sprawy winien — nie winien widom, jako sędziom przysięgłym i zwraca się przy tym do nich z wezwaniem: zbudźcie się.

Jak widzimy, autor nie oszczędził widzowi wielu efektów teatralnych i surowy sędzia mógłby powiedzieć, że jak na początek jest

J. B.

ich może i za dużo naraz, zwłaszcza, że scenę trzecią wypełnia alegoryczna partia brydża podczas przerwy w rozprawie. Na ogół jednak efekty są dobrze wyeksponowane, choć nie wszystkie szczęśliwe, jak np. dziwny wydzwój mający okrzyk końcowy (Coś jakby: „Emigration erwache!”). Nie wchodząc w merytoryczną treść wywodów postaci sceniczy, na ogół sprawiedliwie podzielonych między światła i cienie, można by stwierdzić, że pierwszym słabym punktem w całej sztuce jest zbyt mała sublimacja wątków życiowych, wprowadzonych do sztuki o tak alegorycznej formie. Same przeciwstawienia wątków nie wystarczają, np. w tyradach obrońcy i oskarżyciela, gdyż one wyiskrawiają sprawy, a przez to stają się nawet i mniej przekonujące i logiczne i artystycznie. Nie jest rzeczą krytyki dawać rady i sposoby, ale wydaje się, że większe odczynnienie ostrego przeciwstawienia patriotyzm-cynizm humorem, satyrą, nadałoby więcej plastyki scenicznej i graszce myśli, czy wręcz groźnej batalii idei. Ale to zadanie trudne.

Autor swe ambiłne zadanie starał się rozwiązać na możliwie wysokim poziomie, ale choć mu багаżu intelektualnego — jak się zdaje — nie brak, to jednak nie wiem, czy było roztropnym tak szybko chcieć wypełnić lukę w dramatisarstwie powstałą z powodu odejścia Shaw'a i czuć się dość mocnym, aby jak wielki dramaturg grać kanonami teatru. Czyniąc to, co czyni Jabłoński, ale na mniejszą skalę, mógł osiągnąć efekty silniejsze, bardziej skupione i lepiej wtopione w akcję. Tak rozpyłnął się znowu w tyradach, zaniedbał charaktery i wzbijając się do nieba, nie odbił dostatecznie od ziemi i realności dnia powszedniego. Opadł więc w sedno spraw codziennych, których nie wystarczy wreszcie krzykiem, czy uderzeniem pięści bohatera, aby nabrały wagi pozaczasowej, czy ponadczasowej. A bez tego nie będzie dobrego teatru poważnego.

Dzielimy się tymi uwagami jakby w zycielnej rozmowie z autorem w obecności widza-czytelnika, przy założeniu, iż takie echo jest wszystkim zainteresowanym potrzebne i dotrze do sedna świadomości, że uwagi te rzeczywiście obracają się w kręgu istotnych zagadnień dla twórczości teatralnej. No i z myślą o przyszłości, gdyż to, co autor pokazał, budzi żywe nadzieje na przyszłość. Ze zatem autor nie poprzestanie na tym dokonaniu, lecz przebijając się przez trudności formy z oczami dostatecznie otwartymi na cel, do którego dąży.

Bogata dialektyka myślowa, starannie nagromadzona, subtelność, która może ulec pogłębieniu, poczucie architektoniki dramatycznej, umiejętność wprowadzania pośrednio elementów informacyjnych w ciąg akcji i tworzenia z tego procesu wątku akcji narastającej stopniowo i rozbudzającej coraz bardziej uwagę widza, wreszcie wyczuć napięcia scen emocjonalnych tego rodzaju, jak moment zazdrości i zachęty współwarszyszy Marka, gdy ma przyjąć na siebie konsekwencję wyroku skazującego go na powrót na ziemię, by — jak rozumiemy — w świadomości widzów działać dalej i niejako odkupić akt swej przemijającej słabości i zmęczenia, wszystko to są elementy dodatnie w sztuce, które dobrze wróżą dalszej twórczości autora.

W jakim kierunku ta twórczość już poszła, tego dokładnie nie wiemy, ale wiemy, że napisał więcej sztuk i że jedna z następnych ma być grana na scenie, że podobno dojrzała do takiej gry i pokazania się w całej krasie barw, światła i słów w prawdziwym teatrze. Przypuszczamy, że poszła w kierunku pokonania niedostatku pierwszej próby, odrywając się od spraw bieżących i idąc w stronę czystej sztuki. Może zdrowy instynkt poradzi nawet pewien odwrót od czystego nowatorstwa, w kierunku bardziej tradycyjnych kanonów teatru, które dopiero po nabyciu dojrzałości artystycznej można zacząć z czasem nagiąć do potrzeb swej twórczej fantazji. Trzeba bowiem wybić sobie od razu z głowy nowatorstwo teatralne, bez opanowania poprzednio rudymentów rzemiosła teatralnego. Wielcy rewolucjonści teatru rekrutują się z karnych sług Melpomeny.

W twórczości dramatycznej rządzi zasada, że pierwsze koty idą zwykle za plotę, że niejedno trzeba wydać dziecko wyobraźni, aby dostąpić zaszczytu jego publicznego pokazania. O tym nasi młodzi dramatisarze zbyt często zapominają, przeciążając biura dyrektorów swymi maszynopisami lub

nadużywając gościnności desek scenicznych i ofiarności znakomitego nowego dorobku bractwa aktorskiego. Jabłoński uniknął tych nadużyć, za co wywdzięczył mu się i teatr i publiczność.

Wykonawcy próby czytanej jego sztuki dali z siebie bodaj więcej, niż by się można było spodziewać w tych warunkach. Wobec nie tyle nieszczerności, ile pewnej ascenicznosci całych partyj w sztuce Jabłońskiego, reżyser (dr L. Kielanowski) zdecydował się pójść dalej, niż zwykła próba czytana, dając szkielet sytuacji, Zaimprovizował z pulpitu, starych roczników pism, stołów, krzeseł i lamp niemal pełne dekoracje, aby odpowiednio rozmieścić aktorów i naszkicować sytuacje poszczególnych dialogów prostych i złożonych, bo i takie się zdarzają. Poza tym pozostawił wielką swobodę wykonawcom w potraktowaniu swych ról.

Niektórzy więc tylko czytali i to jakby niemal po raz pierwszy, nie zupełnie panując nad tekstem lub sytuacją. Nawracali więc sami, choć interwencja reżysera byłaby może bardziej wskazana, nawet na samym wieczorze dla uniknięcia gaff. W ogóle w tego rodzaju sposobie „wystawienia” sztuk reżyserowi przypadać się zdaje również rola suflera i inspicjenta. W znakomitej jednak większości aktorzy nie tylko biegle czytali i interpretowali swe teksty głosowo, ale wręcz niektórzy grali je z pamięci.

Przykład tego dał p. Szpigano-wicz, przykład chwalebny dla jego zapachu aktorskiego, ale nie jesteśmy pewni, czy tego rodzaju nadgorliwość wychodzi na dobre całoci wieczoru i czy nie stanowi dumpingu w stosunku do kolegów. Artystycznie bowiem rzecz biorąc, mocniejsze akcenty gry i głosu, uzasadnione w normalnej temperaturze rozegranego zespołu, detonują w atmosferze kameralnej próby czytanej i wydawać się mogą szarżą, zwłaszcza, że wyładowują się niemal ponad głowami słuchaczy skupionych w małej salce. Czasem dążenie do doskonałości bywa wrzgiem dobrego.

Z świetnie obsadzonych i wykonanych ról wymieniłbyśmy kolejno pp. Modrzeńskiego, Toma i Zięciakiewicza, Felsztynskiego i Halicza, oraz p. W. Baczyńskiej-Orłowiczowej, która ofiarnie przyjęła na siebie rolę trudną i bardzo wyrazistą naszkicowała ją głosem, gestem i mimiką. Natomiast p. Rymasa-Szymański poszedł może za daleko w swej powściągliwości interpretacyjnej. Zdając sobie sprawę z trudności porównania pierwszej próby czytanej („Przebieżeczka”) z drugą, tu omówioną, to jednak ze względu na tekst i oszczędność środków zastosowanych, pierwszy wieczór wydaje się nadal niedościgniony. Wszakże trud włożony w drugi jest, niemniej chwalebny i pozostanie zasługą całego zespołu artystów ZASP i autora. Pozwalają one spodziewać się jeszcze wielu co najmniej tak dobrych słuchowisk „teatru wyobraźni”. Na razie powtórzono sztukę Jabłońskiego w Domu Kombianta.

J.O.N.

Wkład polski do wysiłku sprzymierzonych w Drugiej Wojnie Światowej mało jest na ogół doceniany w literaturze politycznej i publicystyce Zachodu. By się o tym przekonać, wystarczy zajrzeć do którejkolwiek z historii tej wojny, opublikowanych w języku angielskim czy francuskim, albo do wspomnień polityków i wojskowych. O ile spotyka się jeszcze gdzieś niedzie krótkie notatki o działalności oddziałów lądowych, czy o lotnikach polskich, o tyle próżno by szukać najmniejszej choćby wzmianki o ogromnych usługach, jakie Polacy zarówno w Kraju, jak w Niemczech czy Francji oddali wywiadowi wojskowemu aliantów.

Dlatego cieszyć się bardzo wypada, że Bernard Newman — pisarz, któremu często się już zdarzało mówić w swych książkach o Polsce i Polakach, zawsze w duchu dla nas życzliwym, — opowiedział w d. 25 lutego r.b. w formie słuchowiska radiowego, nadawanego przez B.B.C., jak to „Polacy ukradli latającą bombę dla Wielkiej Brytanii”.

Taki tytuł nosi artykuł Newmana w „Radio Times”, którym poprzedził on to słuchowisko radiowe. Niemcy początkowo zamierzali — jak stwierdza Newman — zasypywać Londyn i okolice tysiącami bomb latających, tzw. V1, dziennie. Plan ten jednak im się nie udał. Pierwsza bomba latająca spadła na

RIABOKLACZE I KOZEDUBY

CZYLI DZIAŁALNOŚĆ PAŃSTWOWYCH WYDAWNICTW

Prasa emigracyjna nie przestaje zwracać uwagi społeczeństwa polskiego na niebezpieczeństwo, jakie grozi kulturze polskiej w Kraju ze strony komunistycznej polityki kulturalnej. Wielu krytyków jednak ma skłonność do traktowania tych ostrzeżeń jako „strachów na lachy”.

Groźbę narzucania Polsce „kultury” rosyjskiej i sowieckiej uważa się za przesadną, opierając to przekonanie na silnej wierze w moc kultury rodzimej i w jej historyczną wyższość nad wschodnią sąsiadką. Nie chce się natomiast słyszeć o dynamice tej nowej kultury, o masowości jej przejawów i agresywności, z jaką występuje na terenach podbitych politycznie. Dodajmy jeszcze, że tereny te w znacznym stopniu „oczyszczono” z warstw reprezentujących rodzimą tradycję kulturalną.

Agresywność nowych władców w dziedzinie kultury w Kraju przejawia się równolegle w trzech kierunkach: 1. — w forsowaniu płodów rosyjskich, 2. — w ograniczaniu twórczości polskiej, 3. — w niedopuszczaniu wpływów kultury zachodniej.

Dla ilustracji powyższych twierdzeń niech posłużą przytoczone niżej zestawienie pozycji wydawniczych w dziedzinie literatury powieściowej i nowelistycznej czterech największych i najruchliwszych przedsiębiorstw nakładowych: „Czytelnik”, „Książka i Wiedza”, „Państwowy Instytut Wydawniczy” oraz „Prasa Wojskowa”. Dane te obejmują książki zanotowane przez krajowe pisma tygodniowe w rubryce nowości wydawniczych w ciągu miesiąca grudnia 1950 r. i stycznia 1951 r., a więc plon nie całkiem pełny ostatniego kwartału ubiegłego roku.

WSPÓŁCZESNA TWÓRCZOŚĆ POLSKA

1. — J. Gałaj: *Mystkowiec, wioska mała*. Wyd. II. Str. 472. — „K. i W.”
2. J. Pytlakowski: *Fundamenty*. Str. 384 — „Pr. Wojsk.”
3. Wanda Wasilewska: *Gwiazdy w jeziorze*. Str. 325 — „K. i W.”

DAWNIEJSZA TWÓRCZOŚĆ POLSKA

- „Czytelnik”:
1. T. T. Jeż: *Zarnica*. Str. 304.
 2. J. I. Kraszewski: *Ostatni z Siekierzyńskich*. Str. 167.
- „Książka i Wiedza”:
3. A. Dygasiński: *Nowele i opowiadania*. Str. 250.
 4. Pan Jędrzej Piszczalski. Str. 356.
 5. „Państw. Inst. Wyd.”
 5. H. Sienkiewicz: *Za chlebem*. Str. 108.
 6. „Na polu chwały”. Str. 323.
 7. „Legiony”. Str. 179.
- Współczesna twórczość zachodnia „Państw. Inst. Wyd.”:
1. Juliusz Hay: *Wiara, nadzieja i miłość*. Str. 140.
 2. S. Heym: *Inwazja*. t. I. str. 369, t. II. str. 469.

3. Ferreira de Castro: *Emigranci*. Str. 296.
 4. Jean Laffitte: *Milczące maszty*. Str. 166.
 - „Prasa Wojskowa”:
 5. Willy Bredel: *Otzhausen*. — Str. 128.
 6. I. Izcaray: *W górach Hiszpanii*. Str. 79.
 - „Książka i Wiedza”:
 7. Howard Fast: *Sprawa Parsonsa* (wspólne wydanie z „Prasą Wojsk.”) Str. 103.
 8. „Ostatnia granica”. Str. 282.
- Dawniejsza twórczość zachodnia: „Państw. Inst. Wyd.”:
1. Romain Rolland: *Jan Krzysztof*. Księga pierwsza. Str. 486.
 - „Książka i Wiedza”
 2. E. Zola: *Początki fortuny Rougeonów*. Str. 306.
 3. A. Dumas: *Wicehrabia de Bragelonne*. Str. 596.
 4. — Balzac: *Honoryna i inne opowiadania*. Str. 507.
 5. — Balzac: *Gabinet starożytności*. Str. 285.
 6. — W. M. Thackeray: *Targowisko próżności*. T. I. str. 360.
 7. — Jack London: *Mieszkańcy otchłani*. Str. 234.
 8. — Fr. Villon: *Wielki testament*. Str. 160.
 9. — Wergiliusz: *Eneida*. Str. 360.

TWÓRCZOŚĆ ROSYJSKA

- „Czytelnik”:
1. — Wiera Panowa: *Jasny Brzeg*. Str. 340.
 2. — I. Riaboklacz: *Maksym z kochozu „Zorza”*. Str. 307.
- „Państwowy Instytut Wydawniczy”:
3. — Iwan Armilew: *Młodość Matwetja*. Str. 324.
- „Książka i Wiedza”:
4. — Nowele Ormiańskie. Seria: *Literatura Zw. Radzieckiego*. Str. 280.
 5. — Arkadiusz Pierwiencow: *Koczubej*. Str. 319.
 6. — A. Puszkina: *Dubrowski*. Str. 134.
 7. — Słowo o wyprawie Igora. Przekład J. Tuwima. Str. 40.
 8. — I. Turgieniew: *Opowiadania*. Str. 336.
 9. — G. Adamow: *Wygnanie władcy*. Str. 458.
 10. — Włodzimierz Popow: *Stal i Szlaka*. Str. 381.
 11. — Maksym Gorkij: *Klim Samgin*. Str. 593.
 12. — A. Stiepanow: *Port-Artur*. Str. 632.
 13. — Iwan Kozedub: *W służbie Ojczyzny*. Str. 366.
 14. — T. Jerszowa: *O pracy komсомоłu*. Str. 43.
 15. — I. Ananiewa: *Zwiększmy produkcję przędzy*. Str. 48.
 16. — Włodz Juriezańskij: *Rzeka ujarzmiona*. Str. 438.
 17. — Lew Tołstoj: *Opowiadania Sewastopolskie*. Str. 167.
 18. — Maks. Gorgij: *Moje uniwersytety*. Str. 134.
 19. — Puszkina: *Opowieści*.
- „Prasa Wojskowa”:
20. — Paweł Weżynow: *Druga kompania*.

21. — W. Kawerin: *Dwaj kapitanowie*. Tom I. 148.
22. — Dittó: *Tom II* — str. 358.
23. — Georgij Markow: *Nad luką*. Tom II. str. 439.
24. — Mikołaj Ostrowskij: *Zrodzeni z burzy*. str. 240.
25. — Bohaterowie Związku Radzieckiego. Wyd. II. Str. 79.
26. — A. Studzickij: *Wąwóz Batoryar Dźoł*. Wyd. II. Str. 112.
27. — A. Szachow: *Na różnych szerokościach*. Str. 455.
28. — A. Agranowskij: *Misja prof. Nikolskiego*. Str. 49.
29. — T. Sytina: *Samsonow, bohater Związku Radzieckiego*. Str. 93.
30. — Walentin Katajew: *Opowiadania*. Str. 121.

Powstrzymując się od analizy jakościowej dzieł objętych tym dwumiesięcznym zestawieniem, warto jednak zrobić krótką ich analizę ilościową. Ogółem więc wydano: polskich książek 10 zachodnich 17 rosyjskich 30

Jeśli idzie o twórczość pisarzy współczesnych, to stosunek ten przedstawia się następująco: polskich 3 zachodnich 8 rosyjskich 24

Niemożliwość zanalizowania wartości tej energii wydawniczej, bez poznania treści utworów rosyjskich, talentu pp.: Gałaja i Pytlakowskiego (o W. Wasilewskiej wiemy, co mamy sądzić!), oraz niektórych pozycji zachodnio-europejskich, nie zaciemnia jednakże jaskrawości obrazu, jaki dają same cyfry: 2 — 8 — 24!

Ponadto w okresie przedświątecznym wspomniane wydawnictwa ofiarowały następujące książki dla dzieci i młodzieży.

„Czytelnik” — P. Bażowa: „Kornik polny”; „Prasa Wojskowa” — I. Perelmana (przekład z rosyjskiego) „Matematyka na wesoło”, J. Pantelejewa „Opowiadania o dzieciach”, W. Katajewa „Syn pułku” i Wandy Wasilewskiej „Kryształowa kula Krzysztofa Kolumba”.

W zestawieniu powyższym uwzględniliśmy jedynie prozę artystyczną, pomijając publikacje z dziedziny naukowej, społecznej i politycznej, gdzie przewaga rosyjska jest równie widoczna, jeśli nie jeszcze jaskrawsza.

z. m.

PIUS XII PAPIEŻ

**ENCYKLIKA
HUMANI GENERIS**

O pewnych fałszywych poglądach zagrażających podstawom nauki katolickiej.

C e n a 1 s h,

Nakład i skład główny:
VERITAS F. P. Centre,
12, Praed Mews, London, W.2.
Tel.: AMB 6879.

Z RADIA

DŁACZEGO TYLKO 100 BOMB DZIENNIE NA LONDYN?

Londyn d. 16 czerwca 1944 r. — z opóźnieniem sześciomiesięcznym. W ciągu następnego paru tygodni średnio przylatywało sto takich bomb dziennie, a więc zaledwie jedna dziesiąta zamierzonej ilości. Gdyby średnia dzienna wynosiła nie sto, ale tysiąc bomb, i gdyby to bombardowanie rozpoczęło się o pół roku wcześniej, następstwa byłyby groźne: trzeba by prawdopodobnie zarządzić całkowitą ewakuację Londynu, a wojna mogłaby się przedłużyć o miesiąc.

Przyczyną tego opóźnienia i zmniejszenia produkcji V1 do jednej dziesiątej był nalot bombowców brytyjskich na Peenemünde, gdzie znajdowała się stacja eksperymentalna i montownia bomb latających. Zostały one niemal całkowicie zniszczone; Niemcy stracili przez to sześć bezcennych miesięcy i wskutek dalszych nalotów nie zdołali już nigdy dojść do projektowanego poziomu produkcji.

„Wiemy o uderzeniu RAF-u na Peenemünde — pisze Newman —, p. Churchill wyróżnił je należąco po-

chwiał w jednym ze swych słynnych przemówień. Ale kto powiedział RAF-owi, że trzeba uderzyć na Peenemünde?”

Byli to „polscy agenci-amatorzy”, jakby ich można było nazwać, ludzie przebywający w Niemczech na robotach przymusowych. Później ten polski wywiad przybrał charakter doskonale zorganizowanej sieci, kierowanej przez fachowych w tym zakresie oficerów i obejmującej nawet kobiety i dzieci. Robotnicy polscy wykonali i dostarczyli Brytyjczykom szczegółowy plan Peenemünde, — zdołali nawet wysiedzieć domy inżynierów niemieckich.

Po pierwszym zaś, gruntownym zbombardowaniu Peenemünde Polakom udało się wysiedzieć fabryki pomocnicze, wyrabiające części pocisków V1. Największym jednak ich dokonaniem było wykradzenie całej jednej bomby latającej i dostarczenie tej „próbki” wojskowym plan Peenemünde, — zdołali nawet wysiedzieć domy inżynierów niemieckich.

kami V1. Niemcy byli zdumieni, widząc jak wielki odsetek ich nowych pocisków pada ofiarą obrony przeciwlotniczej.

Newman zebrał starannie materiały, dotyczące tej sprawy, którą uważa za jedną z najbardziej fantastycznych historii całej wojny. Część tych materiałów dostarczył mu historyk zatrudniony w Ministerstwie Lotnictwa w Londynie; inne materiały pochodzą z dokumentów niemieckich, które wpadły w ręce brytyjskie. — Inne jeszcze, i te stanowią większość, pochodzą od polskiego ruchu podziemnego.

„Znaliśmy Polaków — podkreśla Newman — jako dzielnych żołnierzy. Tutaj widzimy ich w innym rodzaju walki: w wojnie sekretnej, w której potajemnie wysyłali swą pomysłowość przeciw Niemcom, i to z niezwykłym powodzeniem. ...Nigdy nie ośmieliłem się umieszczać w mych „szpiegowskich” powieściach takich epizodów, o jakich informowali mnie w sposób spokojny i beznamiętny ludzie, którzy sami brali w nich udział”.

Zarówno w swym artykule, jak w słuchowisku radiowym Newman wyraźnie dał do poznania, że gdyby nie akcja wywiadowcza polskiego podziemia, Londyn uległby gruntownemu zniszczeniu, a wojna pociągnęłaby za sobą niezliczone nowe ofiary.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne
ostatniego okresu

NAJLEPSZE FILMY W R. 1950

Brytyjska Akademia Filmowa przyznała szereg dorocznych odznaczeń — są nimi statuetki projektowane przez Henry Moore'a — za najlepsze, jej zdaniem filmy r. 1950. Za najlepszy film produkcji światowej uznany został obraz amerykański „All About Eve”, za najlepszy film brytyjski „The Blue Lamp”, za najlepszy film dokumentacyjny „The Undeclared”, brytyjskiej produkcji.

Osobną nagrodą, poza filmami zwykłymi i dokumentacyjnymi, przyznana została obrazowi „The True Face of Japan” z cyklu „This Modern Age” brytyjskiej produkcji Ranka. Wyróżnienie Organizacji Narodów Zjednoczonych za najlepszy film, ilustrujący jedną lub więcej podstawowych zasad Narodów Zjednoczonych, przyznano obrazowi amerykańskiemu „Intruder in the Dust”.

„TAJNY AGENT” CONRADA W TRANSMISJI RADIOWEJ

Dnia 26 lutego wieczorem „Home Service” B.B.C. transmitował przez półtorę godziny utwór sceniczny Conrada-Korzeniowskiego „The Secret Agent” („Tajny agent”) w adaptacji radiowej Felixa Feltona. Rolę głównej postaci dramatu, sklepikarza-anarchysty Adolfa Verloca grał Francis de Wolff, jego żony Winnie Verloc Joan Matheson, jej brata Stevie Ray Jackson, rolę Osipona John Slater, inspektora Heata Stephen Jack.

„Tajny agent”, jak wiadomo, przerobiony został na scenę przez samego Conrada-Korzeniowskiego z jego powieści pod tym samym tytułem, wydanej w r. 1907.

Na łamach „Radio Times” z d. 23 lutego Felix Felton reklamuje ten utwór jako „a masterly story of crime and detection”. W artykule swym Felton podkreśla jednak, że „Tajny agent” jest czymś więcej: jest doskonałą powieścią psychologiczną.

Postacie anarchistów w „Tajnym agencie” są wytworem wyobraźni autora. Lecz — jak notuje Felton — Conrad był bardzo zadowolony, gdy się dowiedział, że różnego rodzaju zagraniczni rewolucjoniści, przebywający w Nowym Jorku, byli przekonani, że książkę musiał napisać ktoś, będący z nimi w bliskim związku. Dla Conrada był to dowód psychologicznej trafności jego postaci.

„ANGLO-POLISH REVIEW”

Od czasu, gdy tak zasłużona w swej działalności wydawniczej p. Harasowska w Glasgow zmuszona była z braku środków w zawieszonym dwutygodniku „The Voice of Poland”, i od czasu, gdy po krótkim istnieniu upadł periodyk „Polish Fortnightly”, brak było czasopisma, które by informowało publiczność angielską o Polsce i sprawach polskich.

Od roku z górą lukę tę wypełnia miesięcznik „Anglo-Polish Review”, wydawany pod auspicjami Rady Naczelnej Towarzystw Anglo-Polskich. Miesięcznik ten w zwiększonej i interesującej formie daje materiał bardzo urozmaicony: od artykułów, poświęconych sytuacji politycznej ze szczególnym uwzględnieniem Polski i krajów Europy Środkowo - Wschodniej, poprzez obfite relacje o wydarzeniach w Polsce dzisiejszej po artykuły z dziejów stosunków anglo- i szkocko - polskich w przeszłości. Znajdujemy tam także omówienia nowych książek, poświęconych zagadnieniom Europy Środkowo - Wschodniej, oraz obszerną kronikę Towarzystw Anglo - Polskich.

Roczna prenumerata „Anglo-Polish Review” wynosi 6 sh. Adres wydawnictwa: 66, Elizabeth Street, London S.W.1.

MĘSTWO BEZ POKUS

POUCAJĄCE byłoby ustalenie, ilu też emigrantów polskich nie wróciło do Kraju trwając w zamiarze dalszej walki o jego wolność, a ilu uczyniło to po prostu ze strachu. Ostatnio bowiem bardzo często słyszy się zdania, takie niby bardzo rozsądne i pozytywistyczne, że wprawdzie oczywiście pragniemy obalenia systemu panującego w Polsce, ale bić to my się tak zaraz nie mamy powodu. Lepiej przypuszczalnie zaczekać, aż sprzymierzone z Niemcami państwa zachodnie zajmą Warszawę, a wtedy my dopiero narzucimy swoją ceną pomoc.

Jak dotąd, „Lepki” nie zajmował się polityką i nadal zajmować się nie będą. Naszym polepkowskim zdaniem bowiem polityka należy raczej do zjawisk przyrodniczych, niż do humanistycznych. Wszystkie zjawiska psychologiczne i socjologiczne są zarówno przyrodnicze, jak i humanistyczne, a polityka jest chyba z nich najbardziej przyrodnicza. Ludzie się do polityki tylko mieszają, ale nie mają na nią większego wpływu. Polityka (zjawiska polityczne, nie zaś zabawa zwana politykowaniem) jest sprawą od ludzi tak niezależną, jak pory roku, trzęsienie ziemi, zaciemnienie słońca, deszcz albo wiatr. Pewnym ludziom tylko się zdaje, że potrafią zatrzymać burzę i odwracać wiatry, tak jak się to kiedyś wydawało wróżom, magom, druidom i szamanom. Śmieją się dziś ludzie z kapłanów, którzy zamawiali piękne zbiory u Lelum Polelum. A czymże innym są teorie polityczne?

Politycy (prawdziwi) oczywiście mają pewien wpływ na bieg polityki — taki, jaki mają inżynierowie na bieg wód. Mogą rzeki przesuwać o parę kilometrów w jakimś miejscu, mogą je uregulować, ująć w wały i tamy. Kierunku odwrócić nie są zdolni, ilości wód nie przyniosą, barwy ich nie odmienią.

Tak i ruchy społeczne, przemiany duchowe narodów, wielkie konflikty dziejowe, przewroty gospodarcze nie mogą być na stałe zatrzymane przez jednostki. Można je tylko przytrzymać do czasu, skanalizować, oszańcować. Nie ma siły ludzkiej zdolnej im zapobiec.

Anielski ksiądz Smith z prześlicznej szkockiej „Chwały córy królewskiej” Marshalla modli się na froncie m.in. o pogrzebienie bogactwa i zniszczenie polityki. Bo przeważnie do wielu ludzkich nieszczęść dorzuca ona nowe.

Istnieje jednak w strefie kulturalnej wiele zjawisk politycznych lub też bliźniaczo do politycznych podobnych. W życiu kulturalnym są również Jalty, są linie Curzona, są stronnictwa, są legalizmy i szabelki. Tylko rekwiizyty są nieco inaczej rozdzielone i linie podziału przebiegają inaczej, niż w ścisłej polityce. Szabelką n.p. wymachują z największą zawziętością zagorzali cywile, coprawda w stopniach oficerskich. To ci, którzy nigdy nie wachali prochu, ale którym krew burzyły defilady i ci, którzy nesa nie wychyliły poza wygodne fotele, ale znają wojnę z reportażu — wzywają na pola bitew i potrzebują do szturm. Monte Cassino i Warszawa nie schodzą z

Z WYSTAW LONDYŃSKICH

W Agnews Gallery (43, Old Bond Street i 3, Albermarle Street, W. 1) odbywa się wystawa rysunków akwarelowych jednego z największych dawnych malarzy angielskich, J. M. W. Turnera. Wystawa otwarta jest od 9.30 - 5.30, w soboty od 9.30 - 1. Wstęp 1 sh.

PAMIĘTAJ

O KATOLICKICH
NAGRODACH
LITERACKICH

ich ust i łamów pism, choć nawet palca nie zdolali włożyć do ran żołnierskich, tak byli od nich daleko. Bardzo jest narodowe to wojowanie językiem.

Ale, jak się wyżej rzekło, w polityce emigracyjnej trąbka ostatnio nie jest w modzie — w odniesieniu do emigracji. W stosunku do Kraju też się niby głosi militarny pasywizm. Ale to tylko pozory. W istocie bowiem od Kraju żąda się męczeństwa. Poziom wymagań, narzucany Krajowi przez emigracyjnych augurów, jest daleko poza strefą zdrowego rozsądku i elementarnego bezpieczeństwa. Pisma emigracyjne (te, które schowały na razie trąbki w zanadrze), komentując głośny artykuł pisarzy katolickich z „Tygodnika Powszechnego” p.t. „Katołicy w Polsce Ludowej” nie wahają się w swoich ptasio politycznych komentarzach oburzać się, iż „nawet najuczciwiej myślący w Polsce ludzie” nie podnoszą pretensji o Ziemie Wschodnie. Ich zdaniem lepiej, żeby wyróżniło cały naród polski, byle nie dać (gębą) Lwowa i Wilna. Lepiej nie żyć, niż żyć w Polsce okrojonej. Zatem tu na emigracji: oszczędzajmy polską krew, w Kraju zaś: na męczeństwo! Oto dalszy tragiczny ciąg dziejów głupty polskiej.

Wymagania emigracyjne nie ograniczają się zresztą wcale do wyrażenia głośnej postawy Kraju wobec ziem zagarniętych, lecz czepiają się każdego niemal kroku w życiu: manifest pokojowy — zbrodnia, uczestnictwo w masówkach politycznych (obowiązkowe) — zbrodnia, wysłanie wymuszonej depeszy na Kreml — zbrodnia, wykonanie norm — zbrodnia, pisanie i wydawanie książki — zbrodnia. Czytając emigracyjną prasę odnieść można wrażenie, że w Polsce żyje nie walczący dzień po dniu o istnienie naród, ale jakieś „nonstrualne społeczeństwo, pełne zdrajców i zbrodniarzy.

A jakaż jest owa nieskalana, śnieżna, gołębia czystość emigracyjna? Emigracja mężna jest. To prawda. Przywiązana do wolności. To prawda. Niesprzedajna. To prawie prawda. Wszystko prawda — z małym zastrzeżeniem: nie ma pokus. A więc nikt nie wystawia na próbę ani męstwa ani miłowania wolności ani niesprzedajności emigrantów. Żyjemy w przymusowej cnotce.

Lecz jeśli by przyszedł pokus... Tu się felieton powinien skończyć. Dodać by może wypadło jeszcze tylko kilka słów otuchy i wiary w charakter emigracji.

Jeżeli jednak felieton ma ciąg dalszy, to niekoniecznie dlatego, aby dalsze jego wywody miały coś wspólnego z dotychczasowymi.

Istnieje międzynarodowa organizacja pisarzy pod nazwą P. E. N. (Poets, Essayists, Novelists). W czasie ostatniej wojny i okupacji naszego Kraju międzynarodowy P. E. N.-Club uznał za reprezentację pisarzy polskich ich grupę emigracyjną. Na pierwszym powojennym zjeździe P.E.N. w Sztokholmie or-

ganizacja ta — raczej słusze — cofnęła uznanie grupie emigracyjnej jako ogólnej reprezentacji polskiej, uznając za nią organizację odbudowaną w Kraju.

Pisarze polscy, pozostający na emigracji, odsunęli się wówczas demonstracyjnie od międzynarodowego P.E.N.-Clubu nie tylko dlatego, iż przywrócił reprezentację pisarzy z konieczności uznających narzucony Polsce system, ile z tego powodu, że na zjeździe sztokholmskim padły pod adresem pisarzy emigracyjnych słowa takie, jak „faszysty” i „podżegacze wojenni”. Na razie wszystko pięknie.

Mija jednak lat pięć, zaciemnienie kuli ziemskiej postępuje i w nowych warunkach międzynarodowy P.E.N. uznaje za stosowne zaprosić tych, których niedawno nazywano podżegaczami i faszystami do swojego grona. Stało się to niewątpliwie w pewnej mierze z inicjatywy polskiej pisarki, p. Marii Kuncewiczowej. Wystosowała ona też apel, aby emigracyjni pisarze polscy we własnym interesie wstąpili do poszczególnych terytorialnych P.E.N.-Clubów. W odpowiedzi na to Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie ostro protestuje. Bo skoro nas skądś raz wyproszone (gdz każdy uczciwy człowiek, jeśli go obraża, uważa się za wyproszonego), to niechże nas dziś nie proszą znowu „przez kuchnię”. Jeśli już — to przez przedsiódkę naszej własnej narodowej organizacji, przez Związek Pisarzy.

Stanowisko najoczywistej słuszne. Niestety znalazła się grupka pisarzy kąpanych w gorącej wodzie, która na apel natychmiast odpowiedziała akcesem do P.E.N.-Clubu brytyjskiego. Nie jest to ostatecznie żaden grzech, choć smutno pomyśleć, że przy pierwszej lepszej pokusie lamie się magiczny krąg niezłomności, godności narodowej, solidarności koleżeńskiej, postawy protestu, męskiej pogardy i tak dalej. Byle szelest obiecanych funtów i „kontaktów”, a już obraza do kąta.

Nie koniec na tym. W największym zapale sporu: „Życie z P.E.N.-em czy bez P.E.N.-a” wychodzi na jaw, iż najgorliwsi rzecznicy oporu od dawna albo do P.E.N.-Clubu brytyjskiego należeli albo dopiero co zostali doń przyjęci. Zatem — jaki sens ma cały ten protest? Jaki cel mają wystąpienia przeciw akcji p. Kuncewiczowej? Czyżby sens przysłowi: „Co wolno wojewodzie...”?

Legitymacja P.E.N.-Clubu ułatwia podobno otrzymanie wiz i miejsc w hotelach. Zdaje się nam jednak, że nie ułatwia dobrego zdania obcych o charakterze polskich pisarzy. Niektórzy z nich są to bowiem ludzie mężni — bez pokus. Jeśli przychodzą na nich pokusy, wówczas zamiast męstwa dobywa się z portfela wizę i miejsce w hotelu. Miejsce w hotelu bywa widać czasem potrzebniejsze od męstwa.

Byłe nie w Kraju!

Jan Bielatowicz

REKOLEKCJE AKADEMICKIE

odbędą się w Londynie w dniach: 18 — 20 marca

N a u k i w kościele St. Marys, Cadogan Str., S. W. 3.

w dniach: 18. III. (Niedziela Palmowa) — godz. 17

19. III. (Wielki Poniedziałek) — godz. 19

20. III. (Wielki Wtorek) — godz. 19

S p o w i e d z w Brompton Oratory 20. III. wtorek, g. 17

M s z a ś w. z w s p ó ł n ą K o m u n i ą ś w.

w Brompton Oratory 21. III. w W. środę, godz. 9

Do udziału w rekolekcjach

wszystkich Studentów serdecznie zapraszają

Ks. TADEUSZ KIRSCHKE, Duszpasterz Akademicki
ZRZESZENIE STUDENTÓW POLAKÓW ZAGRANICĄ
P. K. S. U. „VERITAS” ODDZIAŁ STUDENTÓW
BRATNIA POMOC STUD. P.U.C.; — BRATNIA POMOC
STUD. WYŻ. SZKOŁY NAUK POLIT. I SPOŁECZNYCH

»BÓG ŻYWY«

Dwie Francuzki, matka i córka Cita i Zuzanna Malard napisały przed wojną fascynującą sztukę dla radiowego teatru wyobraźni p.t. „Bóg żywy”, która była największym sukcesem radiofonii francuskiej, a wkrótce przetłumaczona na inne języki była radawana przez radiostacje różnych narodów. Począta niewątpliwie z natchnienia imponujących widowisk Henri Ghéon'a rzecz ta wywierała wrażenie, nawet w słabym wykonaniu, jak to było u nas, w kraju, gdzie słuchowisko to zrealizował Lwów na fali ogólnopolskiej — ogromne wrażenie. Śmiałość a zarazem świeżość pomysłu zapewnią dzieło C. i Z. Malard długie życie zarówno na antenie jak i w estradowo-oratoryjnym wykonaniu, bezpośrednio przed słuchaczami.

Otóż staraniem bardzo czynnego Koła im. św. Stanisława (przy Veritas), którego prezesem jest p. Jerzy Baworowski, przejmujące to dzieło dwukrotnie zostanie wykonane w Londynie w wspomniany właśnie sposób estradowo-oratoryjny, przez Teatr im. Słowackiego w dniach 14 i 15 marca o godz. 7.30 w Ognisku Polskim. Ceny biletów: 2/6, 3, 4 i 5 sh.

Pragnęlibyśmy zachęcić jak najwięcej Polaków, aby jak najliczniej w tych dwu dniach zapełnili salę Ogniska Polskiego. Jest to do prawdy jedyna sposobność „usłyszeć”, czy też „zobaczyć”, a w każdym razie — przeżyć najoryginalniejszą formę teatralizacyjną o temacie najgłębszym, którego człowiek ośmiela się dotknąć: Boga żywego wśród ludzi.

SEKRETARZ ŚW. OFFICJUM

Na miejsce zmarłego kard. Fr. Marchetti-Selvaggiani Ojciec św. mianował sekretarzem św. Kongregacji św. Officjum kardynała Józefa Pizzardo, będącego również prefektem Kongregacji seminariów i uniwersytetów. (Prefektem Kongregacji Officjum jest Papież). Kard. Pizzardo jest opiekunem i protektorem wielu dzieł i instytucji, a wśród nich organizacji intelektualistów katolickich Pax Romana, której członkiem jest PKSU Veritas.

KSIĄŻKA,

KTORĄ WARTO ZAMÓWIĆ

Stowarzyszenia, szkoły, biblioteki, rodziny i wszyscy Polacy będą niewątpliwie zainteresowani w nabyciu książki mec. Zbigniewa Stypułkowskiego p.t. „W zawierusze dziejowej”, w której autor — jeden z 16 przywódców Polski Podziemnej sądzonych w Moskwie, — opisuje bohaterstwo całego narodu polskiego w okresie ostatniego wojny oraz podaje nieznaną dotąd szczegółowo z procesu moskiewskiego. Książka stanowi więc jedyny w swoim rodzaju dokument historyczny.

Książkę przed jej ukazaniem się można zamówić w przedpłacie po niższej cenie 16 (po wyjściu cena wyniesie 21).

Zamówienia wraz z należnością (czek, Postal Order, Money Order) należy adresować: Z. Stypułkowski, 45 B, Cromwell Road, London, S. W. 7.

Z Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres redakcji i Administracji: Polish Weekly, ZYCIE, 12 Praed Mews, London W. 2. Telefon: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. Prenumerata płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przełożyć należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed”, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEN: 1 cal przez 1 łam £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. KUROWSKI. Anggata 6 c. Lund, Sverige. Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM, kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DABROWSKI. Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. USA: kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol.; pocztą lotniczą — 5 dol. Przedstawiciel: A. Stojanowski, 36, Dearborn Ave, Rye, N.Y.